

CEZARY CHLEBOWSKI
POCZET CZOŁOWYCH MILIONERÓW PARLAMENTARNYCH
dane z onet.pl rok 2015

Lidia Geringer de Oedenberg

Lidia Geringer de Oedenberg ma na koncie 320 tys. złotych oraz 25 tys. euro. Oprócz tego posiada również dom o powierzchni 130 mkw., który jest wyceniany na 400 tys. złotych oraz 100-metrowe mieszkanie, które kupiła za 120 tys. złotych. To jednak nie koniec. W oświadczeniu znalazło się też m.in. 6 kolejnych mieszkań oraz łąki, grunty orne i działka. Samochód, jakim dysponuje europosłanka SLD, to Alfa Romeo Giulietta z 2010 roku.

Beata Gosiewska

Beata Gosiewska to kolejna posłanka PiS, która trafiła do Europarlamentu. Na swoim koncie zgromadziła około miliona złotych oraz 250 funtów. Ma także papiery wartościowe, których wartość ocenia na ponad 400 tys. złotych. Do swojego oświadczenia nie wpisała żadnego mieszkania ani domu. Ma natomiast samochód marki Toyota z roku 2009.

Marek Gróbarczyk

Marek Gróbarczyk w oświadczeniu dostępnym na stronie Sejmu napisał, że na jego kontach bankowych znajduje się około 18 tys. złotych i 340 tys. euro. Posiada on również dom o powierzchni 145 mkw. oraz użytki rolne. Jeździ Fordem Galaxy z 2011 roku.

Andrzej Grzyb

Andrzej Grzyb do PE dostał się z list PSL. Na jego koncie znajdują się prawie 24 tys. złotych oraz 152 tys. euro. Jest również współwłaścicielem domu o powierzchni 204 mkw. Jego wartość to 273 tys. złotych. Wraz z żoną ma też 66-metrowe mieszkanie. W jego oświadczeniu znalazły się też 3 samochody - Toyota Corolla, Volkswagen Caddy i Honda CRV.

Krzysztof Hetman

Krzysztof Hetman (PSL) zadeklarował, że na koncie ma ponad 18 tys. złotych oraz blisko 700 euro. Wraz z żoną posiada także udziały w funduszach inwestycyjnych, które wycenił na prawie 23 tys. złotych. W oświadczeniu zawarł także dom o powierzchni 204 mkw., 56-metrowe mieszkanie oraz działki i garaże. Samochodem, z którego korzysta, jest Renault Scenic z 2009 roku.

Danuta Hübner

Danuta Hübner (PO) to nie tylko jedna z najbardziej znanych, ale też jedna z najbogatszych polskich europosłanek. W naszym poprzednim zestawieniu znalazła się w ścisłym gronie posłów, którzy zgromadzili najwięcej funduszy. Według najnowszego oświadczenia eurodeputowana PO ma na swoim koncie m.in. 167 tys. złotych i 700 tys. euro. Posiada też kilka nieruchomości, spośród których najbardziej imponujące jest 150-metrowe mieszkanie warte ponad 1,6 mln zł. Hübner jest też właścicielką 9-letniego samochodu Volvo S40.

Robert Iwaszkiewicz

Robert Jarosław Iwaszkiewicz (KNP) to jedna z nowych twarzy w Parlamencie Europejskim. U boku bogatych eurodeputowanych nie będzie jednak czuł się obco. Sam wchodzi do PE z budżetem o wysokości blisko pół miliona złotych. Polityk Nowej Prawicy jest też właścicielem dwóch okazałych nieruchomości: 150-metrowego mieszkania (wartość: 800 tys. złotych) oraz 330-metrowego lokalu o wartości 1,2 mln złotych. Iwaszkiewicz posiada również 30 udziałów w spółce Volenti (właściciela kancelarii prawnej) i 5 udziałów w innej kancelarii - Cavere. Z oświadczenia majątkowego wynika, że polityk prowadzi Biuro Transferu Technologii. To działalność związana z tłumaczeniami, dzięki której w ubiegłym roku zarobił ok. 200 tys. zł.

Partyjny kolega Janusza Korwin-Mikkego jeździ Oplem Astrą - modelem z 2008 roku. Ma też zaciągnięte dwa kredyty - 863 tys. złotych oraz 128 tys. franków szwajcarskich (tego drugiego kredytu jest współkredytobiorcą).

Jarosław Kalinowski

Jeden z liderów Polskiego Stronnictwa Ludowego ma na koncie 40 tys. złotych. Posiada także imponujący, 200-metrowy dom o wartości 400 tys. złotych. Pochwalić może się jednak przede wszystkim gospodarstwem rolnym wartym ponad 1,2 mln złotych. Jest też posiadaczem dwóch działek (1200 mkw. i 800 mkw.) oraz dwóch stojących na nich domów (200 mkw. i 170 mkw.). Działki są warte łącznie ponad milion złotych. Były minister ma też m.in. samochód Skodę Octavię, ciągnik i dwa kombajny. Zaciągnął kredyty na prawie pół miliona złotych.

Karol Karski

Karol Karski (PiS) wraz z żoną dysponuje majątkiem, na który składają się kwoty w 5 walutach. Najwięcej ma złotych - ok. 330 tys. Wymienia też zgromadzone 15 tys. dolarów i... 10 funtów. Polityk ma także sporo nieruchomości, większość małych. Jest właścicielem domu o powierzchni 42 mkw. i wartości ok. 70 tys. złotych, położonym na działce (1820 mkw.). Oprócz tego należą do niego 4 mieszkania o łącznej wartości ok. 1,6 mln złotych oraz... działka na cmentarzu z grobem rodzinnym. Europejczyk PiS sporo zarobił w poprzednim roku jako wykładowca Uniwersytetu Warszawskiego - prawie 40 tys. złotych. Ciekawie przedstawia się także w jego oświadczeniu rubryka "Składniki mienia ruchomego o wartości powyżej 10 000 złotych". Tu eurodeputowany wpisał samochód Opel Astra i księgozbiór naukowy. Jako jeden z niewielu nie ma zaciągniętych żadnych pożyczek ani kredytów.

Janusz Korwin-Mikke

Oświadczenie majątkowe najbardziej ekscentrycznego polskiego europosła może imponować. Lider Nowej Prawicy jest znacznie bogatszy, niż pewnie wielu mogło przypuszczać. Na koncie ma 25 tys. złotych, ale jego majątek opiera się na nieruchomościach. Polityk posiada 130-metrowy dom o wartości 800 tys. złotych oraz ponad dwukrotnie tańsze 40-metrowe mieszkanie. Oprócz tego Korwin-Mikke jest posiadaczem 8 działek. Ich wartość przekracza 8 mln złotych, co czyni go jednym z najbogatszych eurodeputowanych z Polski. Dodatkowo Korwin-Mikke posiada 51 proc. udziałów w spółce Portal Polski, prowadzi także Oficynę Konserwatystów&Liberałów, wydającą książki i portal internetowy. Na publikacjach prasowych osiągnął przychód przekraczający 60 tys. złotych. W garażu Korwin-Mikkego stoją dwa auta - Hyundai Tucson i Fiat Grande Punto. Europejczyk nie ma żadnych zobowiązań pieniężnych.

Barbara Kudrycka

Barbara Kudrycka z PO w oświadczeniu majątkowym podała, że ma 360 tys. złotych oszczędności. Oprócz polskiej waluty ma też 10 tys. euro. Majątek pani poseł to przede wszystkim nieruchomości: dom o powierzchni 180 mkw., którego prawnym właścicielem jest córka, i trzy mieszkania: 77-metrowe, 54-metrowe i 33-metrowe. Barbara Kudrycka ma też działkę budowlaną za ok. 200 tys. złotych i lokal usługowy o wartości ok. 20 tys. złotych. Pani europoseł ma dwa samochody: Jaguara z 2009 roku i Volkswagena z 2011 roku. Kudrycka spłaca też kredyt, który wzięła w 2012 roku na zakup lokalu usługowego w wysokości 230 tys. złotych.

Zbigniew Kuźmiuk

Europejczyk PiS Zbigniew Kuźmiuk ma 160 tys. złotych i 187 tys. dolarów oszczędności. Razem z żoną posiada dom o powierzchni 130 mkw. i gospodarstwo rolne o wartości 40 tys. złotych.

Ryszard Legutko

Ryszard Legutko z PiS-u ma 10 tys. złotych i 100 tys. euro. Oprócz tego posiada papiery wartościowe na łączną kwotę 320 tys. złotych.

Nieruchomości europośla to 300-metrowy dom, warty milion złotych, i działka budowlana za 130 tys. złotych. Prof. Legutko wykłada na Uniwersytecie Jagiellońskim, gdzie zarabia 6 tys. złotych rocznie. Europoseł jeździ Skodą z 2014 roku.

Janusz Lewandowski

Janusz Lewandowski z PO ma pięć mieszkań. Ich wartość jest wyceniona kolejno na 900 tys. złotych, 550 tys. złotych, 500 tys. złotych, 200 tys. złotych i 360 tys. euro. Oprócz tego Lewandowski ma też niezabudowaną działkę o powierzchni 4,8 hektara. Oszczędności posła to 300 tys. złotych, 207 tys. euro i lokata żony w funduszu inwestycyjnym o wartości miliona złotych. Europoseł jeździ Toyotą, a jego żona Hondą. Poza tym do 1 sierpnia 2014 roku spłaca kredyt (200 tys. euro), jaki zaciągnął na kupno mieszkania w Brukseli.

Bogusław Liberadzki

Bogusław Liberadzki z SLD-UP ma 200-metrowy dom za ok. 1,5 miliona złotych i mieszkanie o podobnej powierzchni i wartości. Oprócz tego jest właścicielem gospodarstwa rolnego, w tym 3,5 hektara lasu. Europoseł ma 35 tys. złotych i ponad 6 tys. euro oszczędności. Dochód, jaki uzyskał z prowadzenia gospodarstwa rolnego, to 92 tys. złotych. Oprócz tego poseł Liberadzki prowadzi zajęcia na SGH w Warszawie (dochód ponad 127 tys. zł), a w Parlamencie Europejskim zarobił ponad 77 tys. euro. Poseł SLD jeździ Mercedesem z 2011 roku i ma dwa kredyty (jeden na 1 mln 250 tys. zł, drugi na 142 tys. zł) i pożyczkę w wysokości 18,8 tys. zł.

Krystyna Łybacka

Krystyna Łybacka z SLD-UP ma na koncie ponad 36 tys. złotych i 164 tys. złotych na rachunku oszczędnościowym. Oprócz tego zgromadziła ponad 32 tys. euro. Jest właścicielem domu o powierzchni 121 mkw., 46-metrowego mieszkania i dwóch działek. Oprócz diety poselskiej (ponad 10 tys. zł) i uposażenia (ponad 50 tys. zł) pani poseł pobiera emeryturę w wysokości blisko 20 tys. złotych rocznie i wykłada na Politechnice Poznańskiej (ok. 6,5 tys. zł rocznie). W oświadczeniu majątkowym wpisała dwa auta: Lancie z 2014 i Fiata z 2013 roku. Pani poseł spłaca też kredyt hipoteczny na kwotę 24,6 złotych.

Mirosław Piotrowski

Mirosław Piotrowski (PiS) zgromadził fundusze w trzech walutach. Ma 100 tys. złotych, 110 tys. euro i 20 tys. franków szwajcarskich. Posiada duży, 350-metrowy dom, a także inne nieruchomości: drewniany dom (warty ok. 250 tys. zł) i działkę rolną. Jako wykładowca w poprzednim roku zarabiał m.in. w Wyższej Szkole Kultury Społecznej i Medialnej, zarządzanej przez o. Tadeusza Rydzyskiego. Europoseł jeździ Toyotą Land Cruiser z 2005 roku i Volkswagenem Passatem z roku 2010. Nie ma zaciągniętych kredytów.

Tomasz Poręba

Tomasz Poręba (PiS) przez ostatnie lata pracy w Europarlamencie zdołał sporo zaoszczędzić. Na koncie ma pokaźne sumy zarówno w złotówkach (prawie 430 tys.), jak i w euro (prawie 200 tys.). Jest współwłaścicielem (z żoną) 140-metrowego domu, wartego ok. 550 tys. złotych. Posiada również 60-metrowe mieszkanie oraz działkę budowlaną (wartość: 100 tys. zł) i rolną (30 tys. zł). Jeden z liderów PiS gustuje w samochodach marki Honda - ma Hondę Accord z 2006 roku i Hondę CRV z 2013. Polityk wziął kredyt w wysokości ponad 170 tys. euro.

Dariusz Rosati

Dariusz Rosati (PO) na koncie ma ponad pół miliona złotych, jest także posiadaczem kilku nieruchomości. Szczególnie duże wrażenie robi jego dom - o powierzchni niespełna 400 mkw., warty prawie 2,5 mln złotych. Posiada także gospodarstwo rolne i trzy działki. Ich łączna wartość to ok. 2,4 mln złotych.

Duże pieniądze Rosati zarabia jako członek rady nadzorczej Banku Millennium - w ubiegłym roku z tego tytułu osiągnął dochód przekraczający 260 tys. złotych. Duże sumy wpływają na jego konto także w wyniku pracy na uczelniach i działalności autorskiej. Rosati ma dwa dobre samochody - BMW X5 (rocznik 2007) i Audi A4 (2003). Ma zaciągniętą prywatną pożyczkę o wysokości 112 tys. franków szwajcarskich.

Jacek Saryusz-Wolski

Jacek Saryusz-Wolski (PO) posiada "zasoby pieniężne wchodzące w skład małżeńskiej wspólnoty majątkowej". Dysponuje 140 tys. złotych, 86 tys. euro i papierami wartościowymi wartymi prawie 670 tys. złotych. Wraz z żoną posiada także dom o powierzchni 183 mkw. (wartość: 700 tys. zł), 106-metrowe mieszkanie (300 tys. zł) oraz gospodarstwo rolne. Po rodzicach odziedziczył również 1/4 kamienicy. Polityk nie ma żadnych długów. Jeździ Volvo S80 i Mercedesem Vito.

Jarosław Wałęsa

Jarosław Wałęsa (PO) ma na koncie ponad 45 tys. złotych i niespełna 10 tys. euro. Jest także właścicielem obligacji dolarowych (2 227,43 jednostek uczestnictwa) i obligacji strategicznych (22 509,72 jednostek). Posiada dom o powierzchni 166 mkw. (wartość 800 tys. zł) i dwa mieszkania: 78-metrowe (630 tys. zł) i 100-metrowe (700 tys. zł). Nie spłaca obecnie żadnego kredytu ani pożyczki.

Bogdan Wenta

Bogdan Wenta na swoim koncie zgromadził dwa mln zł, ponad 390 tys. euro i nieco ponad 3 tys. dolarów amerykańskich. Były selekcjoner polskich szczypiornistów jest również właścicielem dużego domu, którego wartość oscyluje w granicach 2,4 mln zł, oraz współwłaścicielem mieszkania, za którego kupno trzeba by zapłacić 350 tys. złotych. To jednak nie wszystko. Były szczypiornista, a obecnie polityk PO, ma na własność także dwie działki budowlane, których wartość oszacował na 450 tys. złotych. Co ciekawe, Wenta prowadzi również działalność gospodarczą, działającą w obszarze reklamy, usług szkoleniowych i doradztwa. Przychód wyniósł ok. 888 tys. złotych, dochód ok. 765 tys. złotych. Były sportowiec otrzymuje również rentę sportową za zdobycie medalu olimpijskiego w piłce ręcznej. Wenta w oświadczeniu majątkowym wykazał również posiadanie kilku zegarków i biżuterii, której wartość przekracza 10 tys. zł. Jako fan motoryzacji, polityk PO ma również motocykl Triumph z 2011 roku oraz samochód Hyundai ix35 z tego roku.

Jadwiga Wiśniewska

Posłanka PiS zgromadziła 70 tys. złotych. Ma także dom o powierzchni 154 mkw. o łącznej wartości 600 tys. złotych. Razem z mężem jest właścicielką gospodarstwa rolnego o powierzchni 2,4 ha, za którego kupno trzeba by zapłacić 50 tys. zł. Co więcej, jest również posiadaczką działki rolnej zakupionej w 2000 roku od Agencji Własności Rolnej Skarbu Państwa. Jako posłanka na Sejm RP zarobiła ok. 65 tys. zł (wliczając w to dietę poselską). Ponadto jest właścicielką dwóch samochodów – Forda Focusa z 2008 roku i Audi A1 z 2011 roku.

Janusz Wojciechowski

Janusz Wojciechowski zgromadził na swoim koncie 50 tys. złotych oraz ok. 5 tys. euro. Razem ze swoją żoną jest właścicielem domu o powierzchni 160 mkw., którego wartość oszacowano na 700 tys. złotych. Polityk PSL ma samochód marki Skoda z 2010 roku (wartość 15 tys. zł), prowadzi kancelarię adwokacką, której dochód wyniósł 3600 zł. Wojciechowski nie ma zaciągnięto kredytu, a jego pensja w Parlamencie Europejskim wynosi 7600 euro miesięcznie.

Bogdan Zdrojewski

Były minister kultury ma ok. 60 tys. złotych i środki w walucie obcej o wartości około 5 tys. złotych. Razem z żoną jest właścicielem 290-metrowego domu o wartości ok. jednego mln złotych i 46-metrowego mieszkania o wartości ok. 400 tys. złotych.

Dodatkowo jest współwłaścicielem (razem z żoną) gruntu o powierzchni 490 mkw. i miejsca garażowego w budynku (łącznie wartość 165 tys. zł). Jeździ Mercedesem Klasy E z 2007 roku i Hondą CR-V z 2008 roku. W oświadczeniu wpisał również "inne" pojazdy mechaniczne o wartości ok. 220 tys. złotych. Do tej pory zarabiał łącznie ok. 16,5 tys. złotych miesięcznie (14 tys. zł z tytułu pracy w ministerstwie i 2,5 tys. zł diety parlamentarnej). Jest obciążony kredytem w wysokości 72 tys. złotych zaciągniętym na mieszkanie córki.

Janusz Zemke

Janusz Zemke, polityk wybrany do Parlamentu Europejskiego z ramienia koalicji SLD-UP, zgromadził 52 tys. złotych w gotówce, a także 72 tys. euro i 1,4 tys. dolarów amerykańskich. W swoim oświadczeniu majątkowym informuje również o lokacie wartej 138 tys. złotych i papierach wartościowych na kwotę 890 tys. złotych. Ma też 170-metrowy dom o wartości 750 tys. złotych i działkę rekreacyjną o powierzchni 610 mkw. z domkiem rekreacyjnym typu Brda (wszystko jako własność hipoteczna). Zemke jeździ Audi Q5 z 2010 roku i Volkswagenem Golfem z 2011 roku. Od stycznia do czerwca 2014 roku zarobił 47,7 tys. euro.

KŁAPIE GĘBĄ PIERDZI W STOLEK POLACY NA PRESTIŻOWYCH STOŁKACH W UE

Ruszyła nowa kadencja Parlamentu Europejskiego. Polacy będą pełnili w nim kilka ważnych funkcji. Wiceprzewodniczącym PE został już wybrany Ryszard Czarnecki (PiS). **Kwestorami natomiast** - Bogusław Liberadzki (SLD) i Karol Karski (PiS). W liczącym 751 członków Parlamencie Europejskim ósmej kadencji zasiada 51 polskich europosłów.

<http://wiadomosci.onet.pl/swiat/polacy> 2 lipca 2014.



Kwestor Świętego Pałacu

Kwestor (łac. *Quaestor*) – w starożytnym Rzymie, w początkach republiki, urzędnik sprawujący funkcję sędziego śledczego oraz oskarżyciela publicznego w sprawach karnych. Później powierzono kwestorowi administrację skarbem publicznym, a funkcje sądownicze przeszły na pretorów i trybunów. Początkowo kwestorów było dwóch, od 421 p.n.e. czterech, od 267 p.n.e. 8, od czasów Sulli 20, a Cezar zwiększył ich liczbę do 40. Odpowiedzialni byli za sprawy finansowe: nadzór nad kasą państwową, gromadzenie i rozdział pieniędzy, zbieranie podatków, zarządzanie kasą wojskową (wyplata żołdu, sprzedaż łupów). Kwestorzy występowali w starożytnym Rzymie na różnych szczeblach władzy. Byli kwestorzy kurulni (miejscy), legionowi (przypisani do poszczególnych [legionów rzymskich](#)), świątynni itp. Kwestura była pierwszym urzędem obejmowanym przez Rzymianina w karierze politycznej w wieku 30 lat po odbyciu 10-letniej służby wojskowej. W okresie późnego cesarstwa Konstantyn Wielki stworzył urząd *quaestor sacri palatii*

(Kwestor Świętego Pałacu). Był to sekretarz cesarza, przygotowywał projekty ustaw i odpowiadał na pisma wpływające do kancelarii cesarskich.



Kolegium Kwestorów w UE jest organem odpowiedzialnym za organizację i pomoc europosłom w sprawach administracyjnych i finansowych, np. w udostępnianiu im infrastruktury PE czy korzystania z różnych usług niezbędnych w ich pracy. W skład kolegium wchodzi pięciu kwestorów. Kandydatów na kwestorów zgłaszają grupy polityczne lub co najmniej trzydziestu siedmiu posłów. Ich listy powstają w wyniku ustaleń grup politycznych z uwzględnieniem wyników wyborów do Parlamentu i z zastosowaniem tzw. metody d'Hondta. Kwestorzy są wybierani w tajnym głosowaniu w czasie pierwszej po wyborach sesji plenarnej Parlamentu, tuż po wyborze przewodniczącego PE i wiceprzewodniczących.

Bilans Polski w UE 2004-2014





Puste Banki Żywności. Ponad dwa miliony ludzi zostanie bez pomocy?

Mleko w proszku, słone paluszki i przyprawa do kurczaka - to jedyne, na co obecnie mogą liczyć potrzebujący korzystający z pomocy Banków Żywności. Magazyny świecą pustkami. Zapasy skończyły się wiosną a perspektywa zapełnienia hal oddala się w czasie.

Sprawa jest bardzo poważna i może dotyczyć ponad dwóch milionów osób, które żyją w skrajnej biedzie i korzystają z pomocy Banków Żywności. Co takiego stało się, że mimo wzrostu środków na jedzenie, jest go w magazynach coraz mniej? Przyczyną są okrutne przepisy stanowione w UE.
(RC)

FORUM internetowe

~czarnyUżytkownik anonimowy

Te tzw pomoce w małym procencie trafiały do potrzebujących. Do rozdawania najmują się bogaci, którym wciąż mało. Ci kradną najwięcej , bo to potomkowie chłopów , chamów,a chamy honoru nie mają . W stanie wojennym było to samo - jak przychodziły paczki z zachodu. Najwięcej kradła solidarność ... rozwiń całość(dla siebie) potem księża , potem tzw inteligencja katolicka i lekarze. Wtedy to była jazda. Wszystko w ramach prawa dla swoich bohaterów przy kościelnych.

~Stary Złoslivy KomuchUżytkownik anonimowy

3 mln ekonomicznych emigrantów i ilość ta cały czas rośnie. 2 mln żyjących w skrajnej nędzy. 0,5 mln niedożywionych dzieci. Państwo istniejące jedynie teoretycznie. Oto prawdziwe sukcesy ostatnich 25 lat rządów solidurni w ich "wolności" i "demokracji". Oto padł Janek Wiśniewski, górnicy z.....Wujka z lancami poszli na czołgi żelazne, a Lech Bolesław W. motorówką płot przeskoczył. Bo o take Polskie my walczyli.

wczoraj 10:44 użytkownik ~Tfu! napisał:

Proponuję, abyś podał nazwę miejscowości, którą opisujesz i nazwisko proboszcza parafii, o którym wiesz, że postępuje nieuczciwie. Wszystko jest do sprawdzenia i wyjaśnienia. Jeżeli tego nie zrobisz, to znaczy, że jesteś zwykłym kłamcą, manipulantem i pro

Mówisz nieprawdę, ja telefonowałam do Caritas, gdzie trzeba,, Warszawa skierowała mnie do Diecezji, a w Diecezji Ktoś mi odpowiedział, że Ich nie obchodzi, jak są rozdawane Dary w poszczególnych Parafiach. A w Parafiach rozdzielają Panie, m.inn. zona pana Wójta, pani Radna, gosposia, ...inne panie.

Jest to nieprawda, że otrzymują Dary Ci, którym naprawdę to się należy. Otrzymuje Cwaniaki i lenie!!!

~Bizon Użytkownik anonimowy

Bardzo dobrze, skończy się przerażający przekręt na najbiedniejszych.

Nocne rozdzielanie i kręcenie lodów. Biedni otrzymywali to czego nie chcieli wybrańcy. To wielka fikcja pomocy ! Wielkie upokarzanie, naruszanie godności. Nabijanie kieszeni bezczelnym cwaniakom, stowarzyszeniom i fundacjom.... rozwiń całość

Ubogim należy pomóc w formie jakiej oczekują. Zgodnie z USTAWĄ i obowiązkiem państwa.

Zobacz całość

14 lipca 2014 www.onet.pl

<http://wiadomosci.onet.pl/kraj/puste-banki-zywnosci-ponad-dwa-miliony-ludzi-zostanie-bez-pomocy/p45cc>

SUBIEKTYWNOŚĆ POMAGA POLAKOM.

Przykładów na to, że blog "Subiektywnie o finansach" czyni instytucje finansowe lepszymi, jest bez liku. Po krytyce w blogu inwestorzy wymusili na spółce inwestycyjnej Opulentia dymisję jednego z kontrowersyjnych menedżerów. Firma BRE Ubezpieczenia po interwencji w blogu przyznała klientowi odszkodowania za zniszczony piec w mieszkaniu, choć wcześniej likwidator szkody nie chciał uznać roszczenia. Bank BGŻ po publikacji w blogu obiecał, że nie będzie już się głupio tłumaczył, gdy przyjdzie mu pomysł na podwyższanie oprocentowania kredytów. Blog jest też ulubioną lekturą niektórych pracowników NBP, bo po lekturze jednego z wpisów bank centralny napisał karcący list do nierzetelnych handlarzy złotymi monetami. Notka w blogu sprawiła, że bank BPH uznał za stosowne przeprosić klienta za to, że od trzynastu miesięcy rozpatruje jego reklamacje. Bank Pocztowy obiecał popracować nad przekazem marketingowym, bo jego ludzie przeczytali w blogu, że jest on spaprany. Bank PKO BP wskutek ujawnienia w blogu nieprawidłowości przy konkursie dla klientów anulował jego wyniki. Wyniki swojego konkursu zmieniał też Citi Handlowy, ale po interwencji blogu przyznał nagrody wszystkim tym, którym wcześniej je odebrał. Getin Noble Bank uznał, że nie będzie już patroszył klienta ubezpieczeniem. Bank BPH - że skończy z nasyłaniem na klienta windyikatorów. PKO BP - że trzeba zmienić zasady bezpieczeństwa przy kontroli klientowskich płatności kartami. Citi od czasu awantur w blogu wzorcowo informuje klientów o podwyżce prowizji, a Open Finance przynajmniej na chwilę poprawił swoje reklamy, by były mniej kontrowersyjne z etycznego punktu widzenia. To tylko najnowsze przykłady wymiernych efektów publikacji w blogu. Te z lat 2010-2011 podsumowałem tutaj....

SKOK na wielką kasę miliony w rękach wąskiej grupy ludzi

Prawie 1400 oddziałów, blisko milion członków oraz 3,4 mld depozytów. W ofercie ROR-y, lokaty, kredyty, karty, ubezpieczenia, fundusze inwestycyjne i IKE. O kim mowa? Może się wydawać, że to opis wielkiego banku. Pozory jednak mylą. Takim stanem posiadania mogą się pochwalić Spółdzielcze Kasy Oszczędnościowo – Kredytowe, w skrócie SKOK-i. Jak to możliwe, że na przestrzeni 12 lat powstała tak wielka organizacja praktycznie z niczego?

Źródeł pochodzenia SKOK - ów jest kilka:

8.

z jednej strony bardzo popularne w USA i Europie Zachodniej spółdzielcze kasy oszczędnościowo – kredytowe, z drugiej przedwojenne kasy Stefczyka oraz bardzo rozpowszechnione w latach PRL-u kasy zapomogowo-pożyczkowe.

Idea i sposób założenia kasy były bardzo proste. Wystarczyło, że pracownicy jednego zakładu pracy lub członkowie jednej organizacji społecznej (stowarzyszenia, fundacji itp.) opłacą wpisowe i wniosą wkład członkowski. Następnie utworzone w ten sposób kasy będą gromadzić oszczędności swoich członków i z tych pieniędzy udzielać pożyczek. Pomysłodawcą przeniesienia tego prostego mechanizmu na grunt nowej rzeczywistości gospodarczej był bliski współpracownik Lecha Wałęsy, dyrektor Komisji Krajowej NSZZ „Solidarność” Grzegorz Bierecki, który w 1992 roku zaraził tym pomysłem kolegów związkowych. SKOK-i zaczęły powstawać w największych zakładach, gdzie związek miał silną pozycję: m.in. Elektrociepłownia Gdańsk, Huta Katowice. Aby nie stracić kontroli nad swoim dzieckiem Bierecki postanowił stworzyć organizację nadrzędną nad rozproszonymi kasami: Krajową Spółdzielczą Kasę Oszczędnościowo – Kredytową. Według założeń miała ona być gwarantem bezpieczeństwa finansowego i stabilności kas. Na fotelu prezesa Krajowej SKOK zasiadł sam „ojciec”, zaś członkami zarządu zostali jego najbliżsi współpracownicy: Lech Lamenta i Wiktor Kamiński.

W pierwszych latach działania SKOK-ów nic nie wskazywało na to, że w przyszłości może to być tak wielka organizacja – w 1995 roku oszczędności 85 tysięcy członków Kas wynosiły ok. 90 mln zł. Wszystko zmieniło się, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, w momencie gdy Sejm przyjął w 1995 roku ustawę o spółdzielczych kasach oszczędnościowo – kredytowych. Według zapisów ustawy – wniesionej do Sejmu przez klub Unii Pracy, a dokładniej przez posła tej partii Bogusława Kaczmarka – SKOK-i nie podlegają obowiązkowi odprowadzania rezerw do NBP (banki odprowadzają 4,5 proc. depozytów), nie podlegają nadzorowi bankowemu, nie wpłacają środków na bankowy fundusz gwarancyjny. Dodatkowo ustawa nałożyła obowiązek przynależności wszystkich Kas do Krajowej SKOK. Dzięki temu Bierecki, Lamenta, i Kamiński oraz wspierający ich: Jarosław Bierecki (brat „ojca”) i Adam Jedliński (gdański prawnik, faktyczny autor ustawy o SKOK) osiągnęli pełnię władzy nad SKOK-ami w Polsce.

Nazywana nieoficjalnie Wielką Piątką, wierchuszka jest alfą i omegą SKOK-ów. Od decyzji Krajowej SKOK nie ma praktycznie możliwości odwołania. A Krajowa SKOK dużo może i dużo wymaga. Przykładowo każdy SKOK od nowego członka musi odprowadzić na rzecz Kasy krajowej od 20 do 40 zł z wpisowego oraz od 50 do 70 zł z wkładu członkowskiego. To nie wszystko. SKOK-i mają obowiązek ubezpieczać się Towarzystwo Ubezpieczeń Wzajemnych SKOK oraz wpłacać na konto Krajowej SKOK 5 proc. z funduszu pożyczkowego. Co najdziwniejsze wymogi te nie są pochodną zapisów ustawy, a jedynie ogólnych decyzji Krajowej SKOK. Jedynym obowiązkiem SKOK-ów, wynikającym z ustawy, jest przymus odprowadzania 1,22 proc. aktywów na tzw. fundusz stabilizacyjny. Środki z funduszu służą do finansowania programów naprawczych SKOK-ów, które mają kłopoty finansowe.

Jedyną rzeczą, jakiej nie udało się przeforsować w Sejmie posłowi Kaczmarkowi było zwolnienie z podatku dochodowego. Veto na taki zapis w ustawie postawiło ministerstwo finansów, które argumentowało, że na podobnych zasadach jak Kasy działają banki spółdzielcze, a one podatek płacą.

Przedstawiciele SKOK nie przyjęli do wiadomości tej interpretacji twierdząc, że ich działalność ma charakter non profit.

A jeżeli już pojawią się zyski, to są one przeznaczane na zwiększenie kapitału. Co się jednak odwlecze to nie uciecze. Zgodnie z tym starym przysłowiem posłowie kolejnej kadencji Sejmu (1997-2001) udzielili ulgi podatkowej SKOK-om. Szczególne zasługi na tym polu miał poseł AWS Stanisław Grzomkowski, który był w tym czasie... członkiem rady nadzorczej Krajowej SKOK. Zwolnienie z podatku dochodowego co roku jest przedłużane, a każda próba odebrania tego przywileju spotyka się z wielką nagonką medialną.

Nie są to jedyne przykłady, gdy politycy z lewa i prawa pomagają SKOK-om.

Najświeższym przykładem takich działań były próby pisania pod kasy dwóch ustaw wniesionych do Sejmu przez klub parlamentarny Prawa i Sprawiedliwości (głównym orędownikiem takich rozwiązań był poseł tego klubu, wcześniej związany ze SKOK-ami – Przemysław Gosiewski). Chodzi o projekt dotyczący upadłości konsumenckiej (według niego bankiem zarządzającym majątkiem bankruta miała być instytucja finansowa o największej liczbie placówek – czyli de facto SKOK). Drugim jest natomiast ustawa o limicie oprocentowania kredytów - tzw. lichwie, z której miały być wyłączone pożyczki poniżej 500 zł. Nic jednak z tych pomysłów nie wyszło. Po publikacjach „Gazety Wyborczej” oraz „Polityki” PiS wycofał się z „przepychania” przez Sejm tych zapisów.

W tym miejscu warto przybliżyć pokrótce co oferują SKOK-i. Generalnie, jak było powiedziane na wstępie, ich oferta praktycznie niczym nie różni się od tego co udostępniają klasyczne banki. Podstawę stanowią jednak lokaty członków (oprocentowane na poziomie 6-7 proc.) oraz niewielkie, krótkookresowe (kilku-, kilkunastodniowe) pożyczki gotówkowe tzw. chwilówki, których oprocentowanie osiąga w skali roku nawet 270 proc. Kasy mogą również udzielać kredytów mieszkaniowych, ale nie dłuższych - tak wynika z ustawy o SKOK - niż 5 lat. I w tym wypadku SKOK starał się wpłynąć na decyzję posłów. W 2001 roku Stanisław Grzomkowski (ten od zwolnienia podatkowego) starał się przekonać swoich kolegów posłów do wydłużenia tego okresu do 20 lat. Tym razem nie pozwolił na ten krok NBP. Jak się jednak okazało i z tym problemem sobie poradzono. Kasy udzielają kredytów na 15 lat wspólnie ze swoją spółką zależną Towarzystwo Finansowe SKOK. Podobnego fortelu użyto przy ubezpieczeniach. SKOK-i, zgodnie z ustawą, nie mogą prowadzić działalności ubezpieczeniowej, a więc założyły własne Towarzystwo Ubezpieczeń na Życie oraz Towarzystwo Ubezpieczeń Wzajemnych SKOK (ubezpieczenia mienia) i poprzez swoje placówki jedynie pośredniczą w zawieraniu umów ubezpieczeń. Od września 2004 roku oferują na tych samych zasadach także Indywidualne Konta Emerytalne prowadzone przez Towarzystwo Ubezpieczeń SKOK na Życie.

W obrębie SKOK-ów dzieje się wiele innych ciekawych rzeczy - np. podnajem lokali pod placówki SKOK im. Stefczyka (największej w kraju) od władz tejże kasy – tak przynajmniej podał tygodnik „Polityka”. Według gazety, mechanizm tej operacji jest bardzo prosty. SKOK kupuje lokal, który następnie jest odsprzedawany członkowi władz, który płaci pieniędzmi z kredytu zaciągniętego w SKOK. SKOK płaci właścicielowi czynsz, z którego spłaca on kredyt.

SKOK-i miały być odpowiedzią na coraz większe zaangażowanie kapitału zagranicznego w polski sektor bankowy. Niestety, po raz kolejny bardzo dobra w swoim zamyśle idea stała się polem do wynaturzeń, do robienia wielkich pieniędzy przez wąską grupę ludzi.

Arkadiusz Droździel

<http://www.money.pl> 2 luty 2005.

DLACZEGO U NAS WSZĘDZIE KRADNĄ ?

SKOK na Wołomin , czyli kiedy strach paraliżuje logikę

Witam Panie Marcinie,

to znowu ja, znowu z problemem... Skorzystałam dopiero w styczniu br. z Pańskich rad i założyłam lokatę systematycznego oszczędzania na rok (w SKOK Wołomin); akurat tutaj było najwyższe oprocentowanie.

I oczywiście, nie minął tydzień, gdy na blogu opisał Pan spadki oprocentowania i jak było później, też Pan wie. A teraz opisuje Pan kolejną aferę. Moje pytanie całkiem serio brzmi: czy powinnam rozwiązać tę lokatę i prosić Wołomin, aby zwrócili mi kasę, póki jeszcze mają z czego? czy nie dramatyzować i czekać?

Wczorajszy artykuł o aferze w SKOK Wołomin miał uspokoić wszystkie osoby, które posiadają w wołomińskiej Kasie swoje środki. Niestety na mail dostaję rozpaczliwe zapytania takie jak powyższe. I niestety jest to jedyna tego typu wiadomość, mam nadzieję zatem, że poniższe informacje uspokoją wszystkich zainteresowanych.

Słowo afera jest jak widać bardzo zaraźliwe. Użyłem go wczoraj w tytule artykułu rozmyślnie z prostego powodu: przez weekend odnotowałem znaczną ilość wejść na bloga w związku z wpisami w Google: "afery w SKOK Wołomin".

Skoro ludzie masowo pytają o aferę, to szukają odpowiedzi na nurtujące pytanie co robić. Artykuł został napisany według psychologicznych wskazówek: początek oraz koniec zawierają informacje o bezpieczeństwie naszych środków, tylko środek opisuje samą aferę.

Akurat to jest pewne Źródło: skok.wolomin

Mimo to ludzie jakoś zapamiętują środek: wiceprezes Joanna P. została aresztowana na trzy miesiące przez gorzowski sąd na wniosek prokuratury. Wraz z nią aresztowano drugiego podejrzanego. Obu osobom grozi do 10 lat więzienia. Zarzuty przedstawiono łącznie kilkunastu osobom.

Tyle w skrócie podają media. Napiszmy zatem wprost - **temat afery zostawmy żadnym sensacji dziennikarzom**, którzy lubują się w rozdmuchiowaniu sprawy i dla pikantności posypywać ją politycznymi podtekstami, co zresztą robią niektórzy w komentarzach. Celowo zatem nic nie pogrubiam w powyższym akapicie.

Dla nas ważniejsze będzie poinformowanie wszystkich zaniepokojonych wraz z czytelniczką która zabrała głos na początku artykułu, że **nie ma powodów do obaw**. I to co najmniej z kilku powodów:

Po pierwsze Kasa jest objęta gwarancją BFG, więc nawet gdyby upadła wszystkie środki zostaną nam zwrócone przez **Bankowy** Fundusz Gwarancyjny. O tym pisałem zresztą wczoraj, więc temat wymaga teraz jedynie rozwinięcia.

Po drugie nie wyobrażam sobie upadku i likwidacji SKOKu Wołomin. To druga największa kasa w Polsce po SKOKu Stefczyka i jeśli jakimś cudem zaczęłoby się publiczne znęcanie rodem z Amber Gold, to przewidywałbym, że w krańcowym przypadku zamiast upadku mielibyśmy do czynienia z **przejęciem przez jakiś łasy na nowych klientów bank**

SKOK Wołomin ma zbyt dużo klienteli aby ich po prostu puścić wolno.

Banki mają nadpłynność i pewnie niejedyn chciałby przejąć taki łakomy kąsek. W efekcie mielibyśmy powtórkę z Polbanku. Doskonała **oferta** zostałaby stłamszona na wzór Raiffeisenowskich młotów.

Po trzecie chociaż na stronie Kasy wciąż nie ma informacji o aresztowaniu i pewnie nie będzie, to jednak wczoraj w biznes newseria ukazała się **wypowiedź prezesa Wołomina, Mariusza Gazdy.**

Powiedział on między innymi:

2013 rok był rokiem dynamicznym, rokiem intensywnej pracy, mającej na celu dostosowanie do nowych warunków prawnych, które nas spotkały. Natomiast jeżeli chodzi o wyniki finansowe, jest to najlepszy rok w historii naszej kasy. **Aktywa wzrosły o 46 proc.** w stosunku do końca poprzedniego roku i zbliżają się na koniec 2013 roku do 3 mld złotych. Mamy 79 tys. pełnoprawnych członków, czyli zdeklarowanych stałych klientów, kwota pożyczek to jest ponad 2,2 mld złotych, a **wynik finansowy – 83 mln złotych netto** Całość wypowiedzi prezesa można przeczytać tutaj.

Zapewne sceptycy powiedzą: no taaa, **rok 2013 był super bo i oferta była super.** Zaś od 2014 roku wszystko leci na łeb na szyję. Mieliśmy cztery spadki, zniknęła oferta lokat ze względu na odgórne nakazy, teraz dochodzą aresztowania, a więc jest gorzej.

Czytelnicy powinni jednak nauczyć się krytycyzmu. **Oddzielać sensacyjne wątki pisane dla wzbudzenia zainteresowania od kluczowych istotnych dla deponentów**, wyjątkowo nie użyję słowa lokatowców z wiadomego powodu.

Człowiekiem nieustannie rządzą emocje, które tłamszą logikę. W sprawach miłości i przyjaźni emocje z pewnością odgrywają rolę kluczową. W finansach zaś powinna dominować logika tak by pozwalała podejmować właściwe decyzje. Logika zaś mówi moje środki w Wołominie są bezpieczne.

Tematyka wołomińska jest w zasadzie zarezerwowana dla bloga FpG, ale wczoraj pojawiła się **bardzo dobrą ofertą lokaty w FM bank**. A biorąc pod uwagę klauzulę oferta ważna do odwołania oraz wyjątkową atrakcyjność lokaty [dziś o niej na FpG](#).

<http://polakcandwa.blogspot.com/> 29 kwietnia 2014.

CZY WSZYSCY U NAS KRADLI I KRADNĄ ?- Nie wszyscy, ale wielu takich ,co za mało zarabia, niestety kradnie jak się nadarzy okazja, nie ma u nas jeszcze zarobków na poziomie UE czy USA, może to jest jakimś wyjaśnieniem....?

Agencja SKOK-u Stefczyka w Opalenicy przyjmowała od członków Kasy raty pożyczek, ale nie przekazywała ich SKOK-owi. Ten żąda od pożyczkobiorców, by w takim razie zapłacili jeszcze raz. I grozi egzekucją komorniczą. Ekipa Samcika,

czyli dziennikarze Pieniądzy Ekstra i wyborcza.biz interwenują . Pani Elżbieta, mieszkanka Opalenicy, w 2010 r. zaciągnęła pożyczkę w miejscowym SKOK-u. Była to agencja największej w Polsce Kasy - SKOK-u Stefczyka. Przez ponad trzy lata sprawy biegły właściwym torem - pani Elżbieta spłacała raty, a SKOK co jakiś czas przysyłał informację z aktualnym saldem pożyczki.

Wszystko się zmieniło latem tego roku. Pani Elżbieta zaczęła dostawać monity z informacją, że jeśli nie będzie terminowo regulować rat, to sprawą zajmie się sąd. Nasza czytelniczka sprawdziła potwierdzenia wpłat: wszystkie raty zapłacone w terminie.

Raty zginęły między SKOK-ami

Pani Elżbieta napisała do SKOK-u reklamację. Odpowiedź była jak grom z jasnego nieba: SKOK Stefczyka oświadczył jej, że ostatnie raty - w sumie kilkaset złotych - nie trafiły na jego konto i że w związku z tym nasza czytelniczka musi zapłacić je... jeszcze raz. Potem przyszła informacja, że sprawa została skierowana do sądu. SKOK wystąpił z prośbą o pozwolenie, by wysłać do pani Elżbiety komornika.

Co stało się z wpłatami? Prawdopodobnie zdefraudowali je pracownicy opalenickiej agencji. SKOK Stefczyka złożył już w prokuraturze doniesienie o podejrzeniu przestępstwa. A co z klientami? - Nie jesteśmy dłużnikami, tylko osobami pokrzywdzonymi. Przecież spłaciliśmy nasze zobowiązanie. Na dowodach wpłat są pieczętki SKOK-u Stefczyka. Pani Elżbieta prosi Ekipę o pomoc. - Chciałabym, żeby SKOK na czas wyjaśnienia przez prokuraturę całej sprawy zawiesił egzekucje i przestał naliczać nam - bo nie jestem jedyną oszukaną klientką - karne odsetki. Osoba, która nas oszukała, powinna oddać pieniądze, które sobie przywłaszczyła. SKOK od niej powinien domagać się zwrotu pieniędzy, a nie od ludzi, którzy uczciwie spłacili swoje zobowiązania.

Skontaktowaliśmy się z Dawidem Adamskim z Kasy Stefczyka. Jego zdaniem sprawa nie jest tak jednoznaczna, jak przedstawia to pani Elżbieta. - Placówka agencyjna Kasy Stefczyka w Opalenicy nie miała prawa do prowadzenia jakichkolwiek rozliczeń finansowych z członkami Kasy. Pani Elżbieta w dniu podpisywania umowy pożyczki złożyła oświadczenie potwierdzające, iż przedstawiciel finansowy, u którego zawarła umowę, nie pobiera opłat związanych z ofertą Kasy. To znaczy, że pani Elżbieta nie powinna wpłacać rat u agenta, tylko w centrali.

Adamski dodaje, że pieniądze przyznane w ramach pożyczki pani Elżbieta też otrzymała przelewem, a nie w punkcie SKOK-u. Dlaczego spłacała raty u agenta w Opalenicy? Bo tak jej było wygodniej. - Skoro wisiało tam logo SKOK-u, a pracownicy wydawali potwierdzenia wpłat z pieczętkami SKOK-u, to dlaczego miałam komplikować sobie życie, chodzić na pocztę i płacić prowizję za przelewy? - pyta czytelniczka.

Przedstawiciel SKOK-u przyznaje, że do maja 2013 r. raty trafiały na konto Kasy. - Nie mogliśmy mieć jakichkolwiek podejrzeń dotyczących łamania procedur. Dokonywanie transakcji gotówkowych w punkcie agencyjnym odbywało się w sposób bezprawny, bez wiedzy i zgody Kasy. Bezprawnym działaniem było także posługiwanie się na drukach wpłat pieczętką Kasy Stefczyka - mówi Dawid Adamski.

Czyja to wina?

Pani Elżbieta z kolei twierdzi, że skoro SKOK nie kontrolował właściwie działalności agencji, to powinien wziąć odpowiedzialność za defraudację. Kto ma w tej sprawie rację? Nie chcemy wyrokować, ale poprosiliśmy SKOK Stefczyka,

by przynajmniej do czasu wyjaśnienia afery wstrzymał windykację.

- Mamy nadzieję, że dzięki współpracy z policją i prokuraturą sprawa zostanie rzetelnie wyjaśniona, a pokrzywdzeni członkowie Kasy będą mogli dochodzić swoich roszczeń od agenta. Do czasu rozstrzygnięcia postępowania karnego deklarujemy wstrzymanie działań windykacyjnych w stosunku do pani Elżbiety oraz zamrożenie spornej kwoty. Wierzimy, że nasze wsparcie pozwoli na wypracowanie korzystnego rozwiązania sprawy - powiedział nam Dawid Adamski. Dziękujemy SKOK--owi i trzymamy kciuki za szybkie wyjaśnienie sprawy.

Wiceministrów i pełnomocników w rządzie Tuska na pęczki od ponad 6 lat.

10 luty 2014 w polityce.pl

1 We wczorajszym wydaniu Rzeczpospolitej opublikowano artykuł informujący o tym, że mimo tego iż rząd Donalda Tuska składa się aż z 18 ministrów konstytucyjnych, to zatrudnia dodatkowo 18 pełnomocników najczęściej w randze wiceministra.

Najwcześniej bo zaraz po wygranych wyborach w 2007 roku został powołany na pełnomocnika ds. dialogu międzynarodowego Władysław Bartoszewski, który jednocześnie został sekretarzem stanu w Kancelarii premiera. To powołanie powszechnie oceniano jak splotę długów za poparcie Platformy w wyborach. A później poszło już jak po sznurku. Pojawiał się tylko jakiś wizerunkowy problem rządu, natychmiast premier powoływał pełnomocnika. Doszło do tego, że aby przejąć posła Arłukowicza z SLD już w kampanii wyborczej roku 2011, premier Tusk stworzył dla niego stanowisko sekretarza stanu w Kancelarii Premiera i jednocześnie pełnomocnika premiera ds. wykluczonych. W innym przypadku kiedy z kolei premier Tusk dokonywał rekonstrukcji rządu i odwoływał ministra środowiska Marcina Korolca, a ten akurat przewodniczył szczytowi klimatycznemu w Warszawie aby zapobiec skandalowi dyplomatycznemu powołano go na sekretarza stanu w Kancelarii Premiera i pełnomocnika rządu ds. polityki klimatycznej.

2. Ale to oczywiście nie wszystko, poszczególni ministrowie także mają swoich pełnomocników powoływanych z motywów wizerunkowych czy politycznych.

W taki właśnie sposób ówczesny minister transportu Sławomir Nowak, powołał swojego pełnomocnika ds. rowerzystów. W kampanii referendalnej o odwołanie prezydent Gronkiewicz-Waltz, minister uczestniczył w otwarciu ścieżki rowerowej w Warszawie i właśnie wtedy zakomunikował zdumionym dziennikarzom, że powołał takiego pełnomocnika. Jeszcze bardziej otoczył się nimi, minister spraw zagranicznych Radosław Sikorski, który powołał aż 7 swoich pełnomocników, ma między innymi pełnomocnika ds. kontaktów z diasporą żydowską (który powieliła kompetencje ministra Bartoszewskiego), a nawet pełnomocnika ds. estetyki wewnątrz budynków. Po aferze z molestowaniem w komendzie wojewódzkiej policji w Opolu, szef MSW powołał swoją pełnomocniczkę ds. równego traktowania w służbach mundurowych, a z kolei po aferze z samobójstwem nastolatka w ośrodku terapeutycznym, minister sprawiedliwości powołał pełnomocnika ds. konstytucyjnych praw rodziny.

3. Niezwykle liczni w tym rządzie są wiceministrowie. W resorcie finansów ówczesny minister Jan Vincent Rostowski miał ich aż 10 (w tym głównego ekonomistę resortu, który zajmuje się także wprowadzaniem Polski do strefy euro) i nowy minister Szcurek nic tutaj nie zmienił.

W nowym resorcie infrastruktury i rozwoju kierowanym przez wicepremier Elżbietę Bieńkowską, wiceministrów jest aż 9, przy czym żeby być sprawiedliwym, ten duży nowy resort, powstał z połączenia z dwóch poprzednich: ministerstwa rozwoju regionalnego i ministerstwa transportu.

Niewiele gorsza od tych dwóch resortów jest sama Kancelaria Premiera, która zatrudnia 8 sekretarzy i podsekretarzy stanu w tym głównego PR-owca premiera Tuska ministra Igora Ostachowicza. I tak można bez końca, nawet wydawałoby się nieduże resorty jak kultury i dziedzictwa narodowego czy nauki i szkolnictwa wyższego, zatrudniają po 3 wiceministrów.

4. A przecież ci wszyscy pełnomocnicy i wiceministrowie to również sekretariaty, obsługa, kierowcy itd. Jedna tylko pełnomocnik ds. równego traktowania w Kancelarii Premiera, Agnieszka Kozłowska-Rajewicz, zatrudnia w swoim biurze ponad 20 osób. Mnożenie stanowisk kierowniczych w resortach i powoływanie pełnomocników, odbywa się już teraz często bez specjalnego publicznego uzasadniania takich decyzji przez poszczególnych ministrów.

Parlamentarzyści dowiadują się o ich istnieniu dopiero wtedy kiedy przychodzą do Sejmu w imieniu swych szefów albo też podpisują także w ich imieniu odpowiedzi na nasze interpelacje i inne wystąpienia. I tak się to kręci już od ponad 6 lat.

Zbigniew Kuźmiuk.

REŻIMOWA SPEC USTAWA

Jak pisaliśmy w artykule „Władza wyśle cię do psychiatryka”, rząd Tuska pod płaszczykiem specustawy, która miała pomóc w izolowaniu sprawców najcięższych zbrodni, forsuje przepisy będące zagrożeniem dla demokracji. Sejmowa speckomisja skierowała pod obrady parlamentu projekt, zgodnie z którym każdy, kto trafi nawet na kilka miesięcy do więzienia za jazdę po pijanemu na rowerze czy szarpaninę z policjantem na manifestacji, może być bezterminowo umieszczony w ośrodku psychiatrycznym, jeśli za kratkami okaże się, że ma zaburzoną osobowość lub upośledzenie umysłowe. „Projektowana ustawa zawiera immanentne ryzyko nadużyć, polegających w szczególności na wymuszaniu zeznań, zmuszaniu do współpracy z policją i innymi służbami po odbyciu kary, a zatem stwarza zagrożenie dla funkcjonowania demokratycznego państwa prawnego” – napisał w opinii przekazanej sejmowej komisji dr Ryszard Piotrowski z Uniwersytetu Warszawskiego.
30.10.2013 GP

Ministrowie Tuska kradną : chcą finansowania swoich prywatnych podróży z publicznych pieniędzy.

Ministrowie z rządu Donalda Tuska wystąpili do Sejmu o zwrot wydatków na benzynę do prywatnych samochodów. Choć wożeni są głównie służbowymi limuzynami- podaje „Super Express”. Członkowie rządu, choć z reguły przemieszczają się samochodami służbowymi, domagają się zwrotu pieniędzy z budżetu państwa także za podróże odbywane prywatnymi pojazdami. Rekordziści pobierają na ten cel nawet po kilkadziesiąt tysięcy złotych. Zgodnie z obowiązującymi przepisami posłowie mogą występować o zwrot wydatków na paliwo do prywatnego auta "w związku z wykonywaniem swojego mandatu". Limit wynosi 2,9 tys. zł miesięcznie, a politycy nie muszą przedstawiać rachunków- przypomina „Super Express”.

W dojeniu kasy państwowej przoduje kierownictwo Ministerstwa Zdrowia. Według informacji „Rzeczpospolitej”, minister zdrowia Bartosz Arłukowicz wystąpił o zwrot 27 tys. zł za paliwo do prywatnego auta za 2012 rok.

Jeszcze większej kwoty domaga się wiceszef resortu zdrowia Sławomir Neumann. Uzyskał on ponad 35 tys. zł zwrotu za paliwo. Były minister transportu, Sławomir Nowak, domaga się zwrotu aż 20 tys. zł, szef MSZ, Radosław Sikorski chce z kolei, aby budżet państwa zwrócił mu 19 tys. zł. Biorąc pod uwagę kwoty, jakie ci panowie wydają na paliwo, można przyjąć, że na dojazdach i spotkaniach z wyborcami upływa im większa część roku. Kiedy więc mają czas na bycie ministrami? To jest niemożliwe, aby tyle wydawali na benzynę. Jak na dłoni widać, że nadużywają swoich pozycji. A z punktu widzenia zwykłego śmiertelnika to po prostu przekręt- komentuje dla „Super Expressu” prof. Antoni Kamiński, były prezes Transparency International Polska. „Rzeczpospolita”/”Super Express”/aż 6.12.2013 wpolityce.pl

GAZETA PRAWNA

Najwyższą pensję w rządzie ma premier – prawie 199 tys. zł rocznie, czyli ok. 16,5 tys. zł miesięcznie. Sekretarz stanu w Kancelarii Prezesa Rady Ministrów zarabia mniej więcej 13 tys. zł miesięcznie. Wyższe pensje mają szefowie poszczególnych resortów, ale zarabiają oni mniej niż 15 tys. zł miesięcznie. Jeśli minister czy inny członek rządu jest oprócz tego posłem lub senatorem, otrzymuje dodatkowo diety w wysokości 29 tys. zł rocznie.

Krezus Rostowski

Za rządowych krezusów można uznać zwłaszcza ministra finansów Jacka Rostowskiego i szefa resortu spraw zagranicznych Radosława Sikorskiego. Rostowski stawia na nieruchomości – jest właścicielem lub współwłaścicielem dwóch domów w Anglii, domu we Francji i pięciu dużych mieszkań o powierzchni od 70 do 96 mkw. (z czego większość także w Anglii). Trzy z nich obciążone są kredytami na łączną sumę ponad 210 tys. funtów brytyjskich (prawie 1 mln zł). Minister finansów ma też ponad 92 tys. zł w funduszach i ponad 100 tys. zł oszczędności (część w walutach). Część ministrów, przede wszystkim z PSL, to właściciele ziemscy. Wicepremier i szef resortu gospodarki Waldemar Pawlak jest właścicielem 27-hektarowego gospodarstwa rolnego, a Eugeniusz Grzeszczak wraz z żoną prowadzi gospodarstwo agroturystyczne. Nieruchomość rolną (41 arów) ma też rzecznik rządu Paweł Graś.

Parlamentarzyści, liczba 560, średnia pensja ok. 12,5 tys. zł

– oprócz wysokiej pensji dodatkowe pieniądze na prowadzenie biura poselskiego – 11,5 tys. zł

- brak kontroli - parlamentarzyści mogą wydać pieniądze na biuro na dowolny cel i tak nikt tego nie sprawdza

- fundusze na wyposażenie biura - nowi posłowie otrzymują 9 tys. zł,

– nisko oprocentowana pożyczka sejmowa na cele remontowe – do 25 tys. zł

– darmowe podróże po kraju i za granicę – samoloty, autobusy, pociągi

– darmowy nocleg w Warszawie – hotel poselski lub do 2,2 tys. złotych miesięcznie na wynajem mieszkania

– chronią ich immunitety – nie dostaną np. mandatu za przekroczenie prędkości

– darmowe korzystanie z samochodu służbowego Kancelarii Sejmu

- darmowa komunikacja miejska
- zapomoga losowa – do 4 tys. zł, także dla byłych posłów
- darmowa korespondencja służbowa
- paszport dyplomatyczny – umożliwia odprawy lotniskowe i przejścia przez granice bez kontroli i kolejki
- lekarze, ratownicy medyczni i karetka w gotowości przed parlamentem
- odprawa - poseł, który w kolejnych wyborach nie dostanie się do Sejmu, otrzymuje 30 tys. zł odprawy
- darmowe tablety (na razie mają je posłowie, senatorowie dostaną niedługo)

Rząd się utrzyma z wyprzedaży

10 maja 2011 www.wolnapolska.pl

Rządowe plany kontynuowania prywatyzacji spółek nadzorowanych przez Skarb Państwa niepokoją posłów opozycji. Ich zdaniem, rząd PO - PSL sam doprowadził do kryzysu finansów publicznych państwa, a teraz próbuje ratować sytuację, wyprzedając udziały najbardziej dochodowych przedsiębiorstw. Ekonomiści wskazują natomiast, że prywatyzacja powinna służyć temu, by gospodarka dobrze się rozwijała, a nie by lepiej zarabiał państwo. W projekcie budżetu na 2012 r. rządu Donalda Tuska kontynuowany był proces prywatyzacji spółek nadzorowanych przez Skarb Państwa. Na sprzedaż zostaną skierowane kolejne pakiety akcji PKO BP i PZU. Resort skarbu zamierzał również sprzedać m.in. Grupę Lotos. Co więcej, w 2012 r. była kontynuowana prywatyzacja spółek Wielkiej Syntezy Chemicznej i Krajowej Spółki Cukrowej. Planowane przychody w projekcie budżetu na 2012 r. były szacowane na 10 mld zł, a dochody z dywidend uzyskanych ze spółek nadzorowanych przez Skarb Państwa na 2 mld złotych. (...) *Jacek Dytkowski*



PRAWIE 100 milionów utopionych!

45 milionów na nagrody dla aparatczyków resortowych wydał w roku 2013 rząd Donalda Tuska (który obiecywał mniejszy sejm oraz likwidację senatu) i szykuje totalną kontrolę poprzez wybudowanie za 50 milionów dodatkowych zupełnie niepotrzebnych dwóch wielkich budynków sejmowych : jeden o kubaturze 2.000 mkw dla komisji ds. służb specjalnych oraz straży marszałkowskiej i drugi o kubaturze 10.000 mkw przeznaczony na sale dla poszczególnych komisji sejmowych. W tym celu już w grudniu 2013 była nawet gotowa specjalna ustawa, ale podobno bano się budowli na komisje sejmowe jak twierdził poseł Żelichowski PSL.



By żyło się lepiej... politykom Platformy

<http://wgospodarce.pl/>

Ranking przedstawia się następująco: 1) **Mirosław Koźlakiewicz (PO)**, jego łączny majątek (gotówka, nieruchomości i ruchomości) to 45,05 mln złotych; 2) **Andrzej Gut-Mostowy (PO)** – 19,54 mln zł; 3) **Jan Vincent-Rostowski (PO)** – 17,82 mln zł; 4) **Cezary Kucharski (PO)** – 15,83 mln zł, 5) **Roman Kotliński (RP)** – 12,96 mln zł; 6) **Roman Kosecki (PO)** – 12,74 mln zł; 7) **Roman Kaczor (PO)** – 10,34 mln zł; **Leszek Korzeniowski (PO)** – 9,97 mln zł; **Krzysztof Borkowski (PSL)** – 9,79 mln zł; **Grzegorz Raniewicz (PO)** – 8,02 mln zł.

Warto zwrócić uwagę, że Roman Kotliński w oświadczeniu majątkowym zadeklarował wartość posiadanej gotówki w kwocie... 16 złotych. Szczęśliwie, zabezpieczył się w ruchomościach i nieruchomościach... Posłowie Platformy Obywatelskiej brylują także w rankingu posłów z największą gotówką. Co prawda nie okupują już niemal w całości pierwszej dziesiątki, ale podium i okolice należą do nich. I tak największe pieniądze zadeklarował Andrzej Gut-Mostowy (PO) – 9,77mln zł; za nim jest Cezary Kucharski (PO) – 3,64 mln zł; następnie Krzysztof Borkowski (PSL) – 1,89 mln zł; po nim zaś Stanisław Żmijan (PO) i Zbigniew Kuźmiuk (PiS). Kolejna piątka to Ryszard Kalisz, Józef Zych (PSL), Artur Dębski (RP), Ryszard Zbrzyzny (SLD), Waldemar Andzel (PiS). Z kolei wśród najmniej zamożnych posłów jest czterech posłów Ruchu Palikota (Adam Rybakowicz, Marek Poznański, Paweł Sajak, Artur Górczyński), trójka przedstawicieli Platformy Obywatelskiej (Agnieszka Kozłowska-Rajewicz, Artur Dunin, Ewa Kołodziej), dwoje reprezentantów

Prawa i Sprawiedliwości (Małgorzata Gosiewska, Ryszard Terlecki) i... Zbigniew Ziobro, lider Solidarnej Polski.

Rankingi uwzględniają także najbardziej zadłużonych posłów w tej kadencji Sejmu. Listę otwiera Janusz Palikot, jego zobowiązania finansowe sięgają ogółem 9,69 mln zł. Poza nim znaczne długi ma trójka innych posłów jego partii: Helena Szymiec-Raczyńska (3,58 mln zł), Roman Kotliński (2,8 mln zł), Joanna Fabisiak (1,38 mln zł). Pozostała szóstka to posłowie Platformy Obywatelskiej, wśród nich największe długi ma Leszek Korzeniowski (4,31 mln zł), najmniejsze – Sławomir Neumann (0,85 mln zł). Znamienne, że to właśnie posłowie Platformy Obywatelskiej okupują praktycznie w całości listę najbogatszych posłów tej kadencji. Partia władzy jest jak widać także partią pieniędzy. Przy tej okazji – nie dziwi, że PO tak chętnie obsługuje interesy międzynarodowych korporacji.

Zupełnie niedawno posłowie tej partii zgłosili projekt ustawy, który przewiduje rozszerzenie o ok. 200 tys. osób grupy zatrudnionych, którzy będą zobowiązani pracować w niedziele i święta. Zmiana obejmie osoby wykonujące pracę z wykorzystaniem środków komunikacji elektronicznej na rzecz przedsiębiorcy zagranicznego lub zagranicznego oddziału bądź przedstawicielstwa firmy. Chodzi głównie o pracowników tzw. firm transgranicznych, międzynarodowych korporacji czy centrów usług teleinformatycznych. Dziękujemy wam, politycy PO, że nie wstydzicie się zarabiać pieniędzy! I tak sprawnie obsługujecie interesy finansowe korporacji.

By żyło się (wam) lepiej, czyż nie?
Krzysztof Wołodźko

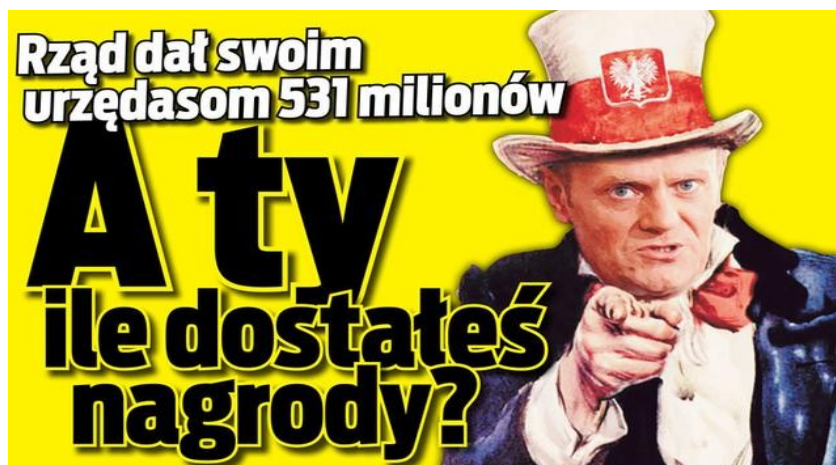
Redaktor „Nowego Obywatela”, publicysta „Gazety Polskiej Codziennie”, członek zespołu „Pressji”

www.aferyprawa.eu



W SEJMIE KRADNIE KTO MOŻE

Prawie milion na nagrody w Kancelarii Sejmu



Kryzys, który dotyka większość Polaków szerokim łukiem omija polski parlament.

Dowód? Prawie milion złotych nagród za 2012 rok wypłaciło sobie kierownictwo Kancelarii Sejmu. Szef kancelarii Lech Czapla otrzymał ponad 65 tysięcy złotych. – ujawnił TVN24. To nawet więcej niż premie jakie wypłaciło sobie Prezydium Sejmu z Marszałek Ewa Kopacz na czele. Czym sobie zasłużyli urzędnicy parlamentarni na tak wysokie nagrody? Tego Kancelaria Sejmu nie ujawnia. Polscy politycy i urzędnicy wysoko cenią swoją pracę. I hojnie się za nią nagradzają. Niedawno wyszło na jaw, że Prezydium Sejmu przyznało sobie za zeszły rok wysokie premie. Marszałek Sejmu Ewa Kopacz otrzymała 45 tys. złotych. Pięciu wicemarszałków – po 40 tysięcy złotych. Niespełna 100 tysięcy złotych to "stosunkowo" niewiele przy blisko milionie złotych nagród przyznanych kierownictwu Kancelarii Sejmu.

Dodatkowe wynagrodzenie otrzymali: szef Kancelarii Sejmu, jego zastępca, dyrektor generalny, a także dyrektorzy poszczególnych biur oraz szef Straży Polscy politycy i urzędnicy wysoko cenią swoją pracę.

I hojnie się za nią nagradzają. Niedawno wyszło na jaw, że Prezydium *Sejmu* przyznało sobie za zeszły rok wysokie premie. Marszałek Sejmu Ewa Kopacz otrzymała 45 tys. złotych. Pięciu wicemarszałków – po 40 tysięcy złotych. Jednak 250 tysięcy złotych to można powiedzieć "pestka" przy blisko milionie złotych *nagród* przyznanych kierownictwu Kancelarii Sejmu. Dodatkowe wynagrodzenie otrzymali: szef Kancelarii Sejmu, jego zastępca, dyrektor generalny, a także dyrektorzy poszczególnych biur oraz szef Straży Marszałkowskiej. W sumie 976 tys. zł!

Informacji o nagrodach przyznanych Kancelarii Sejmu domagali się posłowie *Ruchu Palikota*: Artur Dębski i Tomasz Makowski. W piśmie, które otrzymali od szefa Kancelarii Sejmu Lecha Czapli nie podano, za co urzędnicy dostali tak gigantyczne nagrody.

19 luty 2013 fakt.pl

Pieniądze emerytów na nagrody urzędników

20-04-13 www.prawy.pl

Jak doniósł Fakt.pl urzędnicy z stołecznego ratusza podlegli prezydent Warszawy Hannie Gronkiewicz-Waltz z Platformy Obywatelskiej, dostali wysokie trzynastki. Pieniądze zapewne pochodziły z ogromnych podwyżek lokalnych podatków i opłat – w tym podatku śmieciowego. W ubiegłym roku na trzynastki dla stołecznych urzędników wydano 36.000.000 mln. złotych. Trzynaste pensje wypłacane są na podstawie ustawy o dodatkowym wynagrodzeniu rocznym dla pracowników jednostek sfery budżetowej. Prezydent Hanna Gronkiewicz-Waltz w ramach dodatkowej pensji dostała ponad 12.500 złotych. Czterech wiceprezydentów dostało w sumie 65.000 złotych, czyli ponad 16.000 na osobę. Skala zarobków warszawskich urzędników szokuje tym bardziej, że mieszkańcy Warszawy są w skandaliczny sposób rabowani stawkami za wywóz śmieci. Szczególnie sadyistycznie władze Warszawy potraktowały mieszkańców przedmieść i posiadaczy wolno stojących domów czy mieszkań w szeregowcach, budynków najczęściej wybudowanych kilkadziesiąt lat temu, wartych mniej niż kawalerki w blokach. Samotnie mieszkające osoby starsze o dochodach w okolicach 1000 złotych, bezrobotnych i ubogich.

Wszyscy oni są zmuszeni płacić miesięcznie 89 złotych nowego podatku śmieciowego za wywóz śmieci posegregowanych (124,60 zł za śmieci nie posegregowane), czyli prawie 10% emerytury. Dotychczas w prywatnej firmie wywóz worka śmieci kosztował 17 zł. Osobie samotnej jeden worek starczał na dwa czy trzy miesiące.

Dwu osobowe gospodarstwa domowe nie były w stanie zapełnić całego worka w miesiąc. Podwyżki wynoszą więc do 1000%. Co bardziej bulwersujące politycy rządzącej Warszawą PO podzielili mieszkańców na kilka kategorii. Mieszkańcy bloków płacą: 19,50 zł od gospodarstwa domowego jednoosobowego za śmieci posegregowane (27,30 zł nie posegregowane), 37,00 zł (51,80 zł) od gospodarstwa domowego dwuosobowego, 48,00 zł (67,20 zł) od gospodarstwa domowego trzyosobowego, 56,00 zł (78,40 zł) od gospodarstwa domowego czterosobowego lub większego. Są to według spółdzielni mieszkaniowych stawki o 400% większe niż dotychczas, a dodatkowo miasto gwarantuje wywóz śmieci wielkogabarytowych raz w miesiącu podczas gdy prywatne firmy robiły to codziennie.

Przedstawiciele władz Warszawy podczas niezwykle burzliwych spotkań z mieszkańcami bez żadnego skrępowania swoje chore stawki za wywóz śmieci dla mieszkańców domów indywidualnych tłumaczą tym, że koszty wywozu śmieci z przedmieść są wyższe niż z centrum miasta. Jakoś przez kilkanaście lat kilkadziesiąt firm zajmujących się dotychczas wywozem śmieci z przedmieść nie miało tego problemu i oferowało usługi 10 razy tańsze od tych jakie chce świadczyć miasto. Innym surrealistycznym argumentem władz jest to, że biedniejsi mieszkańcy przedmieść produkują więcej śmieci, oraz to, że koszt wywozu wynika z wyrzucania do śmieci zgrabionych liści – co jest absurdem bo mieszkańcy przedmieść mają kompostowniki.

Jan Bodakowski

88 miliardów poszło na urzędasów

Z najnowszego raportu Fundacji Republikańskiej pt. „Wynagrodzenia w administracji publicznej” wynika, że aż 70 procent Polaków zarabia mniej, niż wynosi średnia pensja w administracji!

Z raportu Fundacji Republikańskiej wynika, że urzędnicy zarabiają przeciętnie 4395 zł brutto, podczas gdy średnia pensja w sektorze prywatnym wynosi 3522 zł brutto. 800 zł, czyli aż 25 procent różnicy w zarobkach to istotna rozbieżność. Kwota ta prawdopodobnie by wzrosła, gdyby wziąć pod uwagę pomijane w oficjalnej statystyce GUS umowy cywilnoprawne. Zjawisko to występuje zarówno w całej gospodarce, jak i w jej poszczególnych gałęziach. Zdaniem prof. Jadwigi Staniszkis fakt, że urzędnicy zarabiają lepiej niż pracujący w gospodarce jest „typowym zjawiskiem krajów trzeciego świata”. – Administracja jest taką przechowalnią i miejscem karier niekoniecznie ludzi najbardziej kompetentnych – powiedziała prof. Staniszkis w Polsat News.

Urzędnicy kosztują

W sferze realnej gospodarki najmniejsze zarobki występują w branży handlowej, gdzie w 2012 roku średni dochód wyniósł 3345 zł brutto. Dwie kolejne branże to zdrowie i edukacja, gdzie pensje wyniosły odpowiednio 3361 zł i 3770 zł brutto.

Rozpiętość zarobków pomiędzy sferą urzędniczą, a tak istotnymi dla funkcjonowania państwa sektorami, jak zdrowie i edukacja pokazuje skalę dysproporcji. Według autorów raportu, jest to skutek przewartościowania płac administracji publicznej, która wynika z pewnej atrakcyjności wyborczej tej grupy osób oraz ich siły przetargowej w negocjacjach z rządem. Kwitnie też nepotyzm i klientyzm. Jak podała Najwyższa Izba Kontroli, niemal połowa stanowisk w instytucjach samorządowych w latach 2010-2012 została obsadzona z pominięciem konkursów! Kolejny problem to dysproporcje w zarobkach w ramach tej samej instytucji. Średnie pensje w pomocy społecznej w zależności od części Polski różnią się o 300 procent.

Zarobki urzędników rzadko kiedy są zależne od wydajności i jakości ich pracy, co może być wynikiem braku systemu monitorowania efektywności i skuteczności pracy urzędów i ich pracowników. Co więcej, jest wiele instytucji, których sens istnienia jest co najmniej wątpliwy. Któż jest świadom, że w Polsce funkcjonuje Polski Klub Wyścigów Konnych, który nie jest typowym związkiem sportowym, a jednostką finansowaną z budżetu państwa, gdzie zarabia się średnio 7930 zł brutto miesięcznie?

Paradoksalnie jest to wyraźnie więcej niż w tak ważnej instytucji jak Kancelaria Premiera, gdzie zarobki wynoszą 7146 zł brutto. Średnia pensja w Polskiej Agencji Żeglugi Powietrznej wynosi aż 21 tys. zł brutto! Duża jest też różnica zarobków w Prokuraturze Wojskowej i Generalnej – oficerowie zarabiają 13 657 zł brutto, czyli o ponad 3752 zł więcej niż ich koledzy z cywila.

Dane te są jeszcze bardziej obrazowe, jeśli weźmie się pod uwagę rozkład wysokości zarobków w populacji. Na podstawie danych GUS okazuje się, że przeciętnie około 60 procent Polaków zarabia poniżej średniej krajowej.

Jednak gdy tę samą miarę przyłoży się do przedstawicieli władz publicznych i kadry urzędniczej, to tylko 30 procent okazuje się gorzej zarabiać niż średnia krajowa. Co więcej, jeśli za wartość graniczną przyjmie się średnią pensję w administracji, to okazuje się, że aż 70 procent Polaków zarabia mniej od przedstawicieli sektora publicznego!

Na dodatek uprzywilejowani biurokraci nie muszą legitymować się efektywnością ani dokonywać optymalizacji procesów – nikt od nich tego nie wymaga, a nawet gdyby wymagał, to nie miałyby instrumentu, by to wyegzekwować. Żaden z dotychczasowych rządów nie podjął skutecznej próby przeglądu sektora publicznego pod względem jego efektywności działania oraz nie przeprowadził systemowej deregulacji. W efekcie z czasem rozrasta się on w sposób przez nikogo niekontrolowany. Na przykład utworzony niedawno Fundusz Rozwiązywania Problemów Hazardowych nie zajmuje się niczym, bo... nikt nie zgłasza się na leczenie. Z kolei posłowie wymyślili ostatnio, by zorganizować Polską Agencję Kosmiczną. Władze nie wahają się być gwarantem wysokich wynagrodzeń, co działa demotywująco na urzędników. Niezależnie od tego, co robią mogą być pewni, że nic się nie zmieni na gorsze.

Mimo coraz większego deficytu budżetu, rząd niechętnie oszczędza na sobie. Zazwyczaj planowane oszczędności kończą się kolejnym skokiem na prywatne pieniądze, np. poprzez podwyżkę podatków. Zasobem oszczędności, po który, według ekspertów Fundacji Republikańskiej rząd powinien sięgnąć, jest sektor publiczny, który w 2012 roku pochłonął 88 mld zł, by sfinansować pensje ponad 1,89 miliona ludzi w nim zatrudnionych! Jedna trzecia tej kwoty została przeznaczona na pensje administracji rządowej i samorządowej.

Ta sytuacja jest faktycznym obciążeniem dla gospodarki, która w obecnym czasie powinna za swój główny priorytet uznać szybki rozwój. Dlatego racjonalizacja wynagrodzeń w sektorze publicznym jest istotnym rezerwuarem potencjalnych oszczędności.

Eksperti twierdzą że za wysokie w stosunku do zarobków w sektorze prywatnym pensje urzędnicze zapłacą młodzi Polacy wchodzący na rynek pracy. – Stanie się tak dlatego, ponieważ rząd nie szuka oszczędności, a zamiast tego podnosi obciążenia fiskalne dla sfinansowania swoich wydatków ponad stan. Sytuacja, w której średnie wynagrodzenie w administracji jest o 800 zł wyższe niż pensja przeciętnego Polaka nie jest normalna, tym bardziej że duża część administracji zamiast pomagać przeszkadza w codziennym życiu Polaków – powiedział Marcin Chłudziński, prezes Fundacji Republikańskiej.

Urzędnicy szkodzą

Bo właśnie wysokie wydatki na urzędników, na co składają się wszyscy podatnicy, to tylko jedna strona medalu. Jeszcze większym problemem jest fakt, że większość tych biurokratów swoją pracą szkodzi Polakom i polskiej gospodarce. Z okazji 25. rocznicy wprowadzenia tzw. ustawy Wilczka odbyła się konferencja prasowa, zorganizowana przez Polskę Razem. – Ustawę Wilczka, ustawę polskiego cudu gospodarczego, należy jak najszybciej przywrócić. Nie ma do tego żadnych przeszkód prawnych, szczególnie w przepisach unijnych – apelował poseł Jarosław Gowin, lider Polski Razem.

Jak przypomina Związek Przedsiębiorców i Pracodawców, opracowana według projektu ministra Mieczysława Wilczka, a uchwalona 23 grudnia 1988 roku ustawa o działalności gospodarczej miała 54 artykuły i tylko pięć stron.

Dzięki niej – bez infrastruktury, banków, telefonów, dotacji, Unii Europejskiej – polscy przedsiębiorcy stworzyli sześć milionów miejsc pracy. Niestety w ciągu kolejnych lat wprowadzano coraz dalej idące ograniczenia. Ustawa była nowelizowana 40 razy, aż w końcu zastąpiono ją nową, zupełnie już złą regulacją. – Mieczysław Wilczek dał nam w 1988 roku rzeczywiście wolny rynek. Nadszedł czas, by ten krok powtórzyć – mówił z kolei w „Pulsie Biznesu” prof. Robert Gwiazdowski, prezydent Centrum Adama Smitha. – To Mieczysławowi Wilczkowi zawdzięczamy to, że Polska gospodarka dokonała takiego skoku cywilizacyjnego przez ostatnie ćwierć wieku – dodał.

Biurokracja jest elementem .

Który w badaniach od lat pojawia się jako najważniejsza bariera - także dla biznesu. – Co trzeci przedsiębiorca mówi, że usunięcie tych [biurokratycznych] barier mogłoby spowodować wzrost przychodów o nawet 10 procent. A następne 25 procent przedsiębiorców mówi, że wzrost przychodów byłby pomiędzy 5 a 10 procent – mówił agencji informacyjnej Newseria Biznes Tomasz Wróblewski, partner zarządzający w Grant Thornton. – Gdyby to przenieść na poziom całej gospodarki, to szacujemy, że usunięcie tych barier przyniosłoby wzrost przychodów przedsiębiorstw o 200 mld zł, czyli 1/8 polskiego PKB – dodał. Jego zdaniem kluczowymi barierami dla rozwoju polskiej przedsiębiorczości są: złożoność polskiego prawa, zwłaszcza prawa podatkowego i niejednoznaczne, niejasne interpretacje przepisów, częste zmiany prawa oraz przedłużające się procedury przed sądami.

Polską gospodarkę dusi gorset nadmiaru przepisów i złego prawa. Rząd jest ogarnięty manią sprawozdawczości. ZPP wylicza, że na przykład Ministerstwo Gospodarki zidentyfikowało 3712 obowiązków informacyjnych, jakie mają polscy przedsiębiorcy wobec administracji. Podjęto szumne działania na rzecz ich ograniczenia i zlikwidowano... 9 z nich!

Według Banku Światowego polski przedsiębiorca poświęca średnio 8 tygodni w roku na czynności biurokratyczne. OECD oszacowała, że likwidacja barier biurokratycznych przyniosłaby Polsce 14 procent wzrostu PKB w ciągu 10 lat. Ograniczenie biurokracji jest działaniem bezkosztowym. – Chcemy wprowadzenia „Konstytucji wolności gospodarczej”. Przeprowadzimy systematyczny przegląd przepisów pod kątem tego, czy one są potrzebne, czy nie czy sprzyjają rozwojowi gospodarczemu, czy go utrudniają – zapowiedział Gowin.

Według raportu Ministerstwa Gospodarki, suma rocznych kosztów administracyjnych ponoszonych przez przedsiębiorców wyniosła 77,6 mld zł, co stanowiło około 6,1 procent PKB Polski. Natomiast suma rocznych kosztów obciążeń administracyjnych wyniosła 37,3 mld zł, co stanowiło około 2,9 procent PKB Polski. W 2007 roku Bruksela zarekomendowała państwom członkowskim istotne ograniczenie obciążeń biurokratycznych. W Holandii, Danii, Niemczech, Portugalii i na Węgrzech wyznaczyło cel redukcji na poziomie 25 procent. Na przykład w Niemczech z 2039 ustaw federalnych zostało 1728, a z 3175 rozporządzeń usunięto ponad 500. W odpowiedzi na zalecenie Unii Europejskiej, Ministerstwo Sprawiedliwości przygotowało odpowiedni projekt, który jednak został zablokowany przez premiera Tuska. – W imię czego gnębi się polskich przedsiębiorców? – pytał Cezary Kaźmierczak, prezes Związku Przedsiębiorców i Pracodawców.

Z powyższych informacji i danych wynika jednoznacznie, że zmniejszenie ilości biurokratów i ich płac będzie miało podwójnie pozytywny wpływ na przyszły rozwój Polski. Z jednej strony podatnicy w mniejszym stopniu będą się składać na pensje dla bezproduktywnych urzędników, a z drugiej strony – wielką ulgę poczuje gospodarka, która dostanie impuls do szybszego rozwoju. Słusznie zatem rozumują autorzy raportu Fundacji Republikańskiej, których zdaniem zarobki sektora publicznego powinny być ustawowo związane z dynamiką PKB, tak aby w przypadku jej spadku nie obciążały nadmiernie finansów publicznych. Niestety państwo nie podejmuje realnych działań, by zmienić tę niekorzystną sytuację. Na podstawie: Raportu Fundacji Republikańskiej, „Wynagrodzenia w administracji publicznej”, Warszawa, grudzień 2013 oraz informacja prasowa Związku Przedsiębiorców i Pracodawców.

Tomasz Cukiernik

Niniejszy artykuł został opublikowany w nr 52-53 tygodnika „Najwyższy CZAS!” z 2013 r. M.G.

CEZARY CHLEBOWSKI ' RAPORT Z TAMTYCH DNI '

Krajowa Agencja Wydawnicza, Warszawa 1988 Błyskawiczne rozprzedanie I wydania książki „Reportaż z tamtych dni”, za którą autor otrzymał w 1986 r. doroczne wyróżnienie Funduszu Literatury przy Ministerstwie Kultury i Sztuki, skłoniło KAW do możliwie jak najszybszego oddania w ręce Czytelników nowej jej edycji. W tym celu wykorzystane zostały gotowe składy tekstowe i materiał ilustracyjny pozostałe po poprzednim wydaniu. Decyzja taka z jednej strony przyspieszyła ukazanie się „Reportażu z tamtych dni”, z drugiej zaś pozbawiła Autora i Wydawnictwo możliwości pełnego uwzględnienia poprawek i uzupełnień, które przyniosła obfita korespondencja po lekturze.

Od autora

Choć spisywanie losów ludzkich zawartych w tej książce rozpocząłem równo 20 lat temu, choć docierały one do rąk Czytelników w różnych formach - publikacji prasowych, prezentacji książkowych, a nawet słuchowisk radiowych, po raz pierwszy - obecnie - przekazuję je zainteresowanym w kształcie, jaki mi się marzył od początku - jako jednego, zwartego tomu.

Opowieści powstały w różnym okresie, -ale-większość w czasie szperania po archiwach i w ludzkiej pamięci, przeważnie przy zbieraniu materiałów do wcześniej wydanych książek: „Zagłada IV Odcinka”, „Pozdrówcie Góry Świętokrzyskie”, „Cztery z tysiąca”, „Wachlarz”. Jeżeli nie weszły do tamtych książek, nie znaczy to wcale, że stanowią materiał gorszy, odpadowy - po prostu wymogi dramaturgiczne czy konstrukcyjne nie pozwoliły ich tam zamieścić.

Ludzkie dramaty w nich zawarte i przeliczne bohaterskie postawy były sprawą zbyt cenną, aby ich opisanie nie oddać także w ręce Czytelników. Dodatkowym momentem przemawiającym za taką potrzebą był fakt, że prezentowane losy ludzi są niejednokrotnie dalszym ciągiem spraw czy też życiorysów omawianych w tamtych książkach. W dziale „Wachlarz” niniejszej książki znajdzie Czytelnik tych samych bohaterów (tylko w innym działaniu), których poznał już w „Pozdrowcie Góry Świętokrzyskie” czy też w „Zagładzie IV Odcinka”. Dział „Kielecczyzna” to z kolei ci sami ludzie, którymi w 1943 roku dowodził mjr „Ponury”, a którzy przez 1944 rok przeszli w pięknej walce pod komendą mjra „Nurta”.

A jednak mimo jednorodności formy i opisywania tych samych spraw i ludzi, relacji tu prezentowanych przez 14 lat nie udało mi się wydać w jednej całości. Różne się na to składały przyczyny.

Podzielona sztucznie książka ukazała się w dwóch wydawnictwach - w 1969 roku w PAX-ie jako „Odłamki granatu” i w 1972 roku w Wydawnictwie Łódzkim pt. „Gdy las był domem”. Obie książki w nakładach po 5 tys. egzemplarzy. W 1972 roku PAX-owi udało się jeszcze wznowić „Odłamki” (20 tys. egz.) i... minęło lat dziesięć.

W 1982 roku Krajowa Agencja Wydawnicza przychylnie przyjęła moją propozycję oddania Czytelnikom reportaży okupacyjnych w pierwotnie zamierzonym kształcie - jako jednej zwartej pozycji. Dodałem do rzeczy już zawartych w obu wydanych książkach (obecnie rozszerzonych o dalsze nie znane mi przedtem powojenne losy bohaterów) dwie relacje nowe z „Wachlarza” i to już było wszystko. Układając kolejność opisywanych wydarzeń stanąłem przed dylematem, czy dać pierwszeństwo chronologii i trzymać się jej ściśle, czy też pogrupować reportaże rejonami działalności (lub podziałem organizacyjnym, np. tym co się działo w „Wachlarzu”) i dopiero wewnątrz nich ułożyć według kalendarza.

To drugie wyjście wydało mi się logiczniejsze, ale spowodowało cofanie się w czasie przy zmianie rejonu. I tak np. opuszczając Nowogródczynę w czerwcowe dni 1944 roku, dowiadujemy się o śmierci „Ponurego”, by po kilku stronach, wchodząc w nowy rozdział - w Kielecczyznę - przenieść się o ponad pół roku, do listopada 1943 roku i zetknąć z tymże samym „Ponurym”, żywym i dowodzącym zgrupowaniami AK w Górach Świętokrzyskich. Uważam to jednak za mniejsze zło, niż zmuszanie Czytelnika do przerzucania się po każdej relacji w inny koniec Polski albo i Europy. Mam nadzieję, że mi to Czytelnik wybaczy.

Winienem jeszcze kilka słów wyjaśnienia, dlaczego o sprawach tak tragicznych, związanych z ludzkimi dramatami postanowiłem pisać w formie raczej lekkiej, miejscami beletryzowanej, pozbawionej patosu. Nie świadczy to przecież o braku szacunku, ale jest chyba kluczem do tego, by trafić z książką do czytelnika młodego. Przed wojną jedno z wydawnictw miało taką dewizę, wydrukowaną na swoich książkach: „Uczyć, nie nudząc”. I o to właśnie mi chodzi.

Na koniec ostatnia smutna refleksja. Kilkanaście lat temu pierwsze egzemplarze książek „Odłamki granatu”, „Gdy las był domem” - dedykowałem opisanym w nich bohaterom jako ludziom żyjącym. Dziś z przerażeniem patrzę, jak pusto naraz stało się wokół mnie, w jak wielu odnośnikach musiałem podać daty zgonu tych wspaniałych żołnierzy Podziemnego Państwa.

Oby ta książka pozwoliła o Nich nie zapomnieć.

W Warszawie

„Polska jest waszą dłużniczką...”

„ Warszawa, dnia 15 sierpnia 1945 r. Do Pana Ministra Skarbu

Warszawa

Dyrektor Okręgowej Izby Skarbowej w Warszawie - Wacław Drojanowski Naczelnik I Urzędu Skarbowego Warszawa-powiat - Romuald Burgraf Kierownik Oddziału Osobowego Izby Okręgowej - Władysław Przybyś i Towarzysze

mają zaszczyt przedłożyć Panu Ministrowi krótkie sprawozdanie z przeprowadzonej akcji społecznej w okresie od połowy października 1939 do lipca 1942 roku...”

Minister Skarbu Rządu Jedności Narodu Konstanty Dąbrowski trzymał wręczony mu przed chwilą memoriał - jedną jedyną kartkę maszynopisu, w której zawarto sześćoletni wysiłek tylu prawych ludzi. Przed jego biurkiem w tymczasowej siedzibie Rządu, w gmachu Dyrekcji Okręgowej Kolei Państwowych na Pradze przy ul. Targowej, stało trzech ubranych odświętnie, tą okupacyjną jeszcze odświętnością, mężczyzn, którzy go zadziwili i odebrali na chwilę mowę.

Za otwartym oknem było sierpniowe południe. Słońce stało w zenicie, oświetlając jaskrawymi promieniami wielką bezludną połać ruin nad rzeką, ruin, które kiedyś, jeszcze rok temu były milionowym miastem.

Właśnie rok temu, po drugiej stronie rzeki, w sierpniowe południe grzechotały karabiny maszynowe, jęczały pikujące stukasy, w niebo wznosił się duszący dym pożarów, a kilkunastoletni obrońcy barykad z butelkami benzyny jako główną bronią śpiewali:

„Nie grają nam surmy bojowe...”

I wierzyli.

Dziś, po roku, nie zostało nic ani z miasta, ani z wiary. Nic? A ci trzej panowie stojący przed ministerialnym biurkiem czy to nie najczystszy przykład, że trzeba wierzyć i w ideały, i w ludzi? Czy ci ludzie nie są takimi samymi bojownikami sprawy, za którą tamci, młodzi, oddali na barykadach życie? Coż z tego, że tamci strzelali i ginęli od strzałów, a ci nazwali swoją walkę skromnie „akcją społeczną”? Była to taka sama walka, bezpardonowa, choć bezkrwawa, za nią też - jak za posiadanie broni - groziła w każdej chwili śmierć.

- Polska jest waszą dłużniczką, panowie - mówi przez ściśnięte gardło minister. - Mówcie, co za to chcecie

- Nic, panie ministrze. Spełniliśmy tylko swój obywatelski obowiązek - odpowiedział za siebie i kolegów dyr. Wacław Drojanowski.

Żeby opowiedzieć całą tę niezwykłą historię, trzeba się cofnąć do sierpnia 1939 r.

Gmach Okręgowej Dyrekcji Izby Skarbowej w Warszawie usytuowany niedaleko placu Starynkiewicza, na skrzyżowaniu ulic Nowogrodzkiej i Lindleya, został przekazany użytkownikom, dla których był budowany, na kilka lat przed wybuchem wojny. Temu chyba należy zawdzięczać, że oprócz przestronnych sal operacji bankowo-finansowych, kas i pokojów urzędniczych, mieścił w swych podziemiach jeden z niewielu w Warszawie solidnych skarbców.

W nowej siedzibie znalazły pomieszczenia zarówno Dyrekcja Okręgowa Izby Skarbowej, jak też trzy urzędy skarbowe na powiat warszawski. Kierownikiem jednego z nich był od kilku lat długoletni pracownik służby skarbowej Romuald Burgraf.

Zmiana lokalu Dyrekcji Okręgowej zbiegła się ze zmianą dyrektora placówki wojewódzkiej. Wiele domysłów snuto w gmachu przy ul. Lindleya na temat osoby przyszłego szefa; wymieniano różne kandydatury, aż pewnego dnia w dyrektorskim gabinecie rozpoczął urzędowanie człowiek, którego dotąd nie wymieniano wśród kandydatów. Był nim mgr Wacław Drojanowski.

Nie można powiedzieć, aby go nie znano w warszawskiej Izbie. Został tu skierowany wprost z Ministerstwa Skarbu, gdzie przeszło rok kierował departamentem.

Ale co robił przedtem? Bardziej zorientowani zestawiali swe wyrywkowe informacje i w wyniku tej żmudnej składanki powstał życiorys zwierzchnika.

Pochodził z Mławy, gdzie jeszcze za czasów I wojny i pruskiej okupacji pracował w sądzie, bankowości oraz w magistracie. Potem, po 1920 r., przez 6 lat pracował w poznańskim Zarządzie Miejskim w administracji i nadzorze bankowości, studiując jednocześnie na Wydziale Prawa Uniwersytetu Poznańskiego. Po otrzymaniu dyplomu przeniósł się na drugi kraniec Polski, na wschód, do Kowla, gdzie został najpierw wiceprezydentem, a później prezydentem miasta. Potem przeniesiono go do Włodzimierza Wołyńskiego, tam w latach 1928-1930 był starostą, wreszcie osiadł na dłużej we Lwowie, gdzie najpierw pełnił obowiązki wojewody lwowskiego, później przez kilka lat był prezydentem tego miasta. Dopiero w 1936 r. na prośbę ministra Eugeniusza Kwiatkowskiego przeniósł się do Warszawy.

- Podobno ze Lwowa nie chcieli go puścić - mówili zorientowani.
- Fiu, fiu, na takich stanowiskach. Musi mieć polityczne plecy.
- Może legionista.
- Nie.
- To pewno należy do Ozon.¹
- Także nie. Po prostu dobry fachowiec - twierdzili mniej skłonni do przesady, wyliczając na poparcie swej tezy tytuły prac napisanych przez Drojanowskiego na temat zasad administracji i finansów miejskich.

Wszyscy zaś byli ciekawi:

Jaki będzie u nas?

Tymczasem nowy dyrektor był po prostu - normalny. Wymagał dotrzymywania terminów, skrupulatności w wykonywanej pracy, był ludzki i wyrozumiały. Miał tylko jedną słabość - popierał wszystkich, którzy udzielali się społecznie. Dyrektor popierał zresztą nie tylko działalność innych, ale i sam każdą wolną chwilę poświęcał, aby sprostać licznym społecznym funkcjom. Miał już za sobą bezinteresownie prowadzone kursy doształcające dla robotników w Poznaniu i wykłady w Towarzystwie Uniwersytetów Robotniczych w Kowlu, prezesurę Rady Międzynarodowych Targów Lwowskich; patronował lwowskiemu sportowi, był prezesem Głównej Komisji Rewizyjnej Towarzystwa Budowy Publicznych Szkół Powszechnych, a ostatnio całą energię i czas pozabiurowy poświęcał Komisji Reorganizacji i Oddłużania Komunalnych Kas Oszczędności, której był przewodniczącym. Ta ostatnia społeczna funkcja miała się niedługo dyrektorowi, a szczególnie podjętej przez niego niebezpiecznej działalności, bardzo przydać.

Choć gazety i komunikaty radiowe pełne były coraz groźniejszych wiadomości, powszechnie liczone, że z dużej chmury... Kto mógł, wykorzystywał letnie upały 1939 r., by nabrać sił do trudów następnych miesięcy.

¹ OZON Obóz Zjednoczenia Narodowego

Sierpniowa mobilizacja zaskoczyła wielu, spowodowała krótkotrwałą panikę, ale wnet uspokojono się:

- W marcu było to samo. Ogłosili mobilizację i nic.

Byliśmy przecież „silni, zwarci, gotowi”, więc taką demonstracyjną mobilizacją może trzeba było podeprzeć twierdzenie o sile i gotowości.

Wśród setek tysięcy, którzy zostali wezwani do koszar, był również plutonowy Wacław Drojanowski, w cywilu magister nauk ekonomiczno-politycznych i dyrektor Okręgowej Izby Skarbowej w Warszawie.

Choć było to już wojsko, część zmobilizowanych, a wśród nich dyr. Drojanowski, chodziła w swoich cywilnych ubraniach i tak miała chodzić aż do końca kampanii, bo „mundury nadejdą dopiero jutro”.

Plutonowy Drojanowski po służbie w koszarach ujazdowskich, gdzie oczekiwał na wyposażenie bojowe, odyskiwał swoje dyrektorskie wcielenie i biegł na Lindleya, aby choć przez godzinę popatrzeć „pańskim okiem” na urząd, za którego sprawność czuł się ciągle jeszcze odpowiedzialny. Ale tu wszystko było bez zarzutu, praca szła normalnie.

Tymczasem skarbiec I Urzędu Skarbowego, który nadzorował naczelnik

Burgraf, wypełniał się coraz bardziej. Prócz własnych walorów znalazły się tu wielkie ilości obligacji Pożyczki Lotniczej, a także depozyty sądowe. Składały się one z kilkunastu wielkich, srebrnych, siedmioramiennych świeczników liturgicznych, kutych, ważących po 15 i więcej kilogramów, pokrytych misterną ornamentacją, pater i tac, na których młotek snycerski wyczarował cuda, oraz z tego, co zwykle nazywano „drobiazgami”, a co ukryte w kilku drewnianych skrzynkach stało w kącie sejfu. Poza jednym odpowiedzialnym pracownikiem nikt specjalnie nie orientował się, co stanowi ich zawartość i skąd się one wzięły.

Drogocенności te zgromadzono na skutek sekwestralnego zajęcia ich przez urzędników skarbowych u niewypłacalnych podatników - do dyspozycji sądu.

Ranek 1 września zburzył ten spokój. Tego dnia plutonowy Drojanowski stał się wyłącznie własnością wojska i po kilku dniach, ciągle czekając na umundurowanie, które „nadejdzie jutro”, po cywilnemu, ale w szyku marszowym, wyruszył na najdłuższy spacer w życiu - na południowy wschód.

Gmach przy ul. Lindleya oraz zgromadzone tu walory zostały pod opieką naczelnika I Urzędu Skarbowego Romualda Burgrafa.

Pierwszy tydzień wojny upłynął na powszechnej huśtawce nastrojów - od żalów i objawów załamania na widok bezkarnie burzących ukochane miasto tysiący bomb hitlerowskich, na wiadomość o śmierci najbliższych, znajomych, sąsiadów, posiekanych seriami broni pokładowej lub rozdartych odłamkami, do szaleńczej radości wywołanej płynącymi z głośników wieściami, że polskie samoloty zbombardowały Berlin, że francuskie dywizje przełamały linię Zygfryda, że polska kawaleria wdarła się do Prus Wschodnich i posuwa się w kierunku Królewca.

Wtedy z zapalem, mimo zmęczenia i przerażających pożarów wybuchających w kilku miejscach naraz, wszyscy biegli na dachy kamienic, by pełnić służbę obserwacyjną, by trwać na posterunku obrony przeciwlotniczej.

Załamanie przyszło nagle - 8 września o popołudniowej porze. Ostatnie samoloty nad przykrytego dymami miasta już odleciały, gdy naraz murami kamienic wstrząsnęły nowe wybuchy. Dopiero po chwili lepiej zorientowani w sprawach wojskowych stwierdzili, że nie słychać samolotów, że to ku miastu leciały po płaskim torze pociski artyleryjskie. Niemiecka ciężka artyleria miała więc swoje stanowiska nie dalej niż 30 km od miasta, a ponieważ wiadomo, że baterii wielkiego kalibru nie ustawia się na pierwszej linii frontu, lecz kilkanaście kilometrów za nią, to znaczy... To znaczy, że Niemcy byli już w opłotkach Warszawy. Ale czy to możliwe? Wszak zaledwie tydzień temu, przed ośmiu dniami, przekroczyli granicę państwa, odległą od stolicy o ponad 300 km. Najbliższe godziny miały rozwiązać te wątpliwości.

Tuż przed wieczorem do huków rozrywających się artyleryjskich pocisków włączyły się wysokim dyszkantem szybkie serie cekaemów i głucho pękające granaty. Oczy Warszawy zwróciły się na zachód, ku Ochocie, gdzie niemiecka 4 dywizja pancerna gen. Reinhardta po zdobyciu Rawy Mazowieckiej i po uderzeniu z szybkiego marszu na Okęcie, kierowała się prosto do serca tej dzielnicy - na plac Narutowicza.

Natarcie się załamało. Niemcy tracąc wiele czołgów wycofali się na pozycje wyjściowe, ale znajdowały się one już na przedpolach Warszawy.

Ta noc była straszna. Teraz dopiero zrozumiano przyczyny szybkiego wyjazdu dnia poprzedniego Naczelnego Dowództwa do Brześcia.

Zapełniły się okryte mrokiem ulice. Gdy jedni, ogarnięci chęcią niesienia pomocy wojsku, spieszyli z łopatami, kilofami na Ochotę, by tam budować barykady, ryć przeciwczołgowe rowy i okopy, inni biegli po znajomych, by znaleźć jakieś wyjście, jakąś radę.

Te ostatnie wydarzenia w połączeniu z dramatycznym apelem płk. Umiastowskiego z poprzedniego dnia: „Młodzieży! Opuszczaj Warszawę!” zapełniły wylotowe ulice stolicy. Szli młodzi w daremnym poszukiwaniu Komend Rejonowych, aby zaciągnąć się do wojska, szli starzy, by uchronić głowy przed bombardowaniem. Właściciele samochodów biegali po znajomych, walili w opuszczone żaluzje nieczynnych stacji benzynowych, chcąc za każdą cenę zdobyć choć jeden kanister benzyny.

W takiej atmosferze kładł się późnym wieczorem do snu Romuald Burgraf. Spał krótko, gdyż tuż po północy zaterkotał natarczywie telefon. Zdenerwowany woźny meldował naczelnikowi, że przed chwilą pod gmach Izby zajechało auto Ministerstwa Skarbu i dwaj urzędnicy Ministerstwa dokonali ewakuacji urzędu.

- Proszę mi dać do telefonu któregoś z tych panów.
- Kiedy już ich nie ma, odjechali.
- Jak to?
- Zabrali jakieś książki, pootwierali biurka i szafy i odjechali. Bardzo się spieszyli.

Tego już nie mógł zrozumieć naczelnik, przyzwyczajony od lat do dokładności, ba, pedanterii i skrupulatnego wykonywania instrukcji i zaleceń. Ubrał się więc pośpiesznie i przez wypełnione rozgorączkowanym tłumem ulice pobiegł na Lindleya.

Wizja lokalna potwierdziła meldunek woźnego. Budynek był cichy, ciemny, jakby wymarły, tylko w portierni paliło się nikłe światło. Puste korytarze powielają echem ich kroki. Przez pootwierane drzwi widać było w pokojach porzucane papiery, otwarte szuflady i szafy.

- Co zabrali?
- Jakies papiery z gabinetu pana naczelnika, jakies ksiazki.
- Czy mowili cos?
- Tak, powiedzieli, zeby dzwonic do pana i zeby pan jechal za nimi, dokad, to juz pan wie. Zgodnie z planem.

Zgodnie z planem. Dobre sobie! Przeciez ten plan mial wygladac zupełnie inaczej. Jedno przynajmniej w tym wywróconym do góry nogami planie było cenne - informacja, że sprawców tego zamieszania można szukać we Włodawie, w Lubelskiem, gdzie był punkt zborny pracowników aparatu finansowego na wypadek ewakuacji.

- Czy byli w skarbcu?
- Chcieli się tam dostać, ale klucze ma pan skarbnik. Pan naczelnik wie, bez kluczy to tu niewiele poradzi.
- Proszę więc powiedzieć panu skarbnikowi, aby chronił skarbiec, a szczególnie skrzynki z depozytami.
- A pan naczelnik?
- Ja jadę do Włodawy, odnaleźć tych gorliwych panów i ustalić, kto zarządził taką ewakuację.

Łatwo to było postanowić, wykonać znacznie trudniej. Własnego auta Urząd Skarbowy dotąd nie miał, a o jakiejś rekwizycji w tym bałaganie nie mogło być mowy. Pozostali więc tylko znajomi ze swymi prywatnymi samochodami. Czy jednak ktoś w takiej chwili zechce do samochodu wyładowanego po dach przez rodzinę i dobytek zabrać naczelnika, a co najważniejsze jechać tam, gdzie on zechce - oto dylemat. Ale naczelnik Burgraf miał w ręku pewien atut.

Nerwowo nakręcał w portierni jeden, drugi, trzeci numer telefonu do ludzi, o których wiedział, że mają samochody. Ale telefony milczały. Właściciele byli widać już na szosie lubelskiej, przepychając z trudem swoje wozy przez tłum uciekinierów, aby przed świtem jak najdalej odjechać od stolicy, nad którą z pierwszym brzaskiem nadlecą znów wyjące stukasy.

Naraz kolejny numer odpowiedział:

- Halo!
- Mówi Burgraf. Jesteście w Warszawie? Nie wyjechaliście dotąd?
- W jaki sposób? Nasz samochód nie jeździ na wodzie - odparł ktoś z pasją po drugiej stronie przewodu. - Mamy wóz, ale nie mamy benzyny.
- A ja mam benzynę.
- Naczelniku drogi. Płacę każdą cenę. Czy dużo pan może odstąpić?
- Odstąpić, nic. Ale mogę dać za darmo, ile będzie trzeba. Sto litrów, dwieście. Stawiam jednak warunki. Pierwszy, zabierzecie mnie, drugi, pojedziemy tam, gdzie ja potrzebuję, w Lubelskie, do Włodawy. To chyba i wasz kierunek.
- Chwileczkę.

Po drugiej stronie przewodu odbyła się gorączkowa narada. Po chwili przekazano jej wyniki Burgrafowi.

- Panie naczelniku, za piętnaście minut będziemy na Lindleya.
Punktualnie za kwadrans pod bramę podjechał wyładowany samochód.
Dwóch mężczyzn wysiadło z minami świadczącymi o tym, że jeśli to głupi kawał, to...

Ale naczelnik oczekiwał ich przed bramą już od dobrej chwili. Gdy wysiedli, w milczeniu wręczył im wcześniej przygotowane kilofy i poprowadził na podwórze. Tam wskazał sobie tylko znane miejsce na asfaltowej płaszczyźnie i krótko polecił:

- Pruć!

Łupnęli kilofami raz, drugi, trzeci, zaczęli oddzierać ciepłe jeszcze, nagrzane płyty asfaltu. Pod tą warstwą ujrzeli 200-litrową, metalową beczkę. Była pełna benzyny. W ten sposób ukryty tu jeszcze w sierpniu przez wojsko podręczny magazyn paliwa, składający się z kilkunastu beczek benzyny, został uszczuplony o jedną.

O świcie, często używając gazu i sprzęgła, klaksonu i hamulca opuścili płonąca stolicę. Dopiero z odległości, z okolic Mińska, mogli ocenić rozmiary zniszczeń. Nad całym miastem od Ochoty aż po Bródno stał gigantyczny słup dymu.

Ze świtem od zachodniej strony nieba spłynęły nad wypełnioną uchodźcami szosę wyjące samoloty. Strugami pocisków wyorały w rozbiegającym się tłumie krwawą drogę, potem przesunęły się na boki i bronowały seriami ziemię w poszukiwaniu pojedynczych celów. Gdy odleciały i zdawało się, że haracz dnia dzisiejszego został już spalony, nadlatywały następne i upiorna gonitwa po polach zaczynała się od nowa.

W takich warunkach naczelnik z towarzyszami jechali w kierunku Siedlec. Albo stali godzinami w zatorach, nie mogąc się ruszyć ni w przód, ni w tył, albo leżeli przytuleni do matki ziemi, a wokół nich pociski stebnowały pole, albo bronili samochodu przed którąś tam z kolei próbą rekwizycji.

Tego pierwszego dnia nie przejechali więcej niż 50 km, czyli tyle, ile w normalnych warunkach ich samochód robił w niespełną godzinę. Na pokonanie odległości 250 km z Warszawy do Włodawy zużyli pięć dni.

Ministerialny zespół urzędniczy był tu prawie w komplecie. Rozmowa z dwoma ewakuantami była krótka i burzliwa:

- Panowie jak panikarze wpadacie w nocy do urzędu, wyłamujecie szuflady, zamki w szafach, wyrzucacie papiery, zabieracie bez pokwitowania księgi kasowe. Przecież ja za to odpowiadam, urząd bez tego nie może pracować.
- Odpowiadać? Naczelniku, czy pan nie widzi, co się dzieje dokoła? Przed kim pan chce odpowiadać? Przecież ta kampania już się kończy.
- Jeszcze jest linia San-Wisła, jeszcze jest Bug. Do tego czasu uderzą alianci i Niemcy będą zmuszeni wycofać większość dywizji, aby bronić się na zachodzie.

Odpowiedzią było pełne rezygnacji machnięcie ręką.

- Pan, panie naczelniku, dokąd? Z nami? Na południe?
- Wracam do Warszawy. Proszę pana inspektora o dokładne opisanie przebiegu ewakuacji.
- Proszę bardzo. - A po spełnieniu życzenia naczelnika mówią jakby z zazdrością. - Ryzykowna wyprawa! Lepiej by pan zrobił jadąc z nami. Ale to już pana prywatna sprawa.

Po godzinie, wśród nocy, bocznymi drogami Burgraf z przyjaciółmi ruszył samochodem, robiąc duży łuk, ku Warszawie. Próbę oporu ze strony współtowarzyszy naczelnik tłumiał jednym słowem:

- Benzyna!

Jechali ku Białej Podlaskiej, bo, jak głosiła wieść, tylko droga stamtąd prowadząca do stolicy była jeszcze nie zagrożona przez niemieckie zagoni pancerne.

Jeszcze przed miastem zobaczyli falę uciekinierów, ale idących od Bugu, od Brześcia, Terespoła, Małaszewicz i Zalesia ku Białej - ze wschodu na zachód. Ci nieśli przerażającą wieść:

- W Brześciu Niemcy!
- W Brześciu? Skąd? Niemożliwe.

Była to jednak prawda. Zagon pancerny 4 armii prosto z Prus Wschodnich parł całą siłą silników czołgowych na południe, by za Bugiem, na wschód od Lublina, połączyć się z dążącymi od Jarosławia i Tomaszowa Lubelskiego jednostkami 10 armii i w ten sposób zamknąć w kotle polską armię „Lublin”.

Fala uciekinierów od strony Brześcia w samym centrum Białej spotkała się z drugą, dążącą od zachodu, która przyniosła inną hiobową wieść.

- Droga do Warszawy odcięta! W Siedlcach Niemcy!

Była to 3 armia hitlerowska, która idąc również od północy, od Prus, sforsowała Bug pod Wyszkiem i rozdzieliła się na dwa kliny: jeden skręcił na zachód, zamykając pierścień wokół Warszawy, drugi przesunął się przez Siedlce ku broniącej się na południu armii „Lublin”.

W Białej Podlaskiej zważyło się na nich zsumowane nieszczęście. Nim wjechali w ulice miasta, głucho detonacje zwróciły ich uwagę tam, gdzie stały hale fabryczne i hangary PZL - Polskich Zakładów Lotniczych. Nad fabryką krążyły w ciasnych kręgach samoloty, syjąc na ziemię bomby całymi seriami. Ziemia przyjmowała je stęknieniami, a po każdym wybuchu leciały w górę kawały darni i szczątki konstrukcji fabrycznych.

Na pokrytym kocimi łbami białopodlaskim rynku Burgraf uściśnął serdecznie ręce przyjaciół:

- Dziękuję wam za to, co zrobiliście. Dalej nasza jazda nie ma sensu. Ja będę się przedzierał do Warszawy, ale wy... Samochodem tam już nie przejeździemy. Może uda się wam jeszcze przemknąć do Zaleszczyk. Szerokiej drogi.

Długo patrzył na oddalający się samochód, który wkrótce zniknął w tłumie. Został sam z wytartą tęczką na bruku obcego miasteczka, gdzie tymczasem nie działo się najlepiej. Biała Podlaska była na ziemi niczyjej. Wycofały się z niej ostatnie jednostki polskie, Niemcy zaś jeszcze nie nadeszli. W tym stanie zawieszenia w próżni zaczęły naraz najlepiej czuć się różnego autoramentu męty, których w małym miasteczku znalazło się zadziwiająco dużo. Na oczach naczelnika wdarto się już do pierwszych sklepów, rabując co się da; z pijackimi śpiewkami przewalała się przez ulicę jedna i druga bandycka grupa, lżąc i bijąc zastraszonych ludzi.

Trzeba było działać, by opanować ten stan bezprawia.

Burgraf poszedł więc do starostwa, ale tu zastał ciszę i pustkę, pootwierane biurka i wyrzuconą na podłogę zawartość szaf. Tylko wiatr gospodarzył nieskrępowanie w tym do niedawna przybytku władzy

-Jest tam kto? - dobiegło wołanie z korytarza.

Burgraf wyszedł z jednego z pokoi. Na środku dużego hallu stał jakiś porucznik, rozglądając się bezradnie.

- Pan tu mieszcowy? Starosta? Urzędnik? Kto? - pytał obcesowo.
- Taki sam zwykły poszukiwacz przedstawicieli władzy jak pan. Wszedłem tu przed chwilą z ulicy. Wracam do Warszawy.
- Cholera, ani żywej duszy. Tylko ta pijana banda na ulicach. Przecież tak nie może być. Mam kilku chłopców, których zebrałem po drodze, mamy trzy karabiny, ale to śmiesznie mało.
- Ale to już jest coś. Pchnij pan kilku swoich ludzi na posterunek policji, do magazynów fabryki samolotów, może tam ktoś jest, może tam została jakaś broń. A ze dwóch niech się dowie o lokale organizacji, może „Strzelca” i harcerzy. Niech dadzą trochę starszych chłopców. A w ogóle brać z ulicy pojedynczych żołnierzy i prowadzić tu.
- Taaak jest!

I tak zaczęło się władanie w ogarniętym bałaganem mieście. Wnet przed starostwo zaczęli ściągać żołnierze zagarnięci z ulic, przyszło trochę harcerzy, trochę strzelców. Porucznik dzielił ich na patrole pod dowództwem wojskowym i zaopatrzonych w jeden karabin na kilku żołnierzy wysyłał na ulice.

Niedługo nadbiegli gońcy wysłani na posterunek policji i do fabryki.

- Na posterunku pustki. Ani policji, ani broni.
- W fabryce żywego ducha. Tam się jeszcze pali. Jest jakiś dziadyga, pilnuje magazynów, ale nie chce wydać kluczy. Mówi, że da tylko władzy.
- Poruczniku, pan będzie tą władzą. Trzeba przejrzeć tamte magazyny. Tam może coś być.

Z ulicy dochodziły pojedyncze strzały. Nie wiadomo, czy to pierwsze utarczki z czołówką niemiecką, czy też odgłosy poskramiania pijanego motłochu. Wysłany patrol przyniósł jednak uspokajające wieści - strzałami odpędzono rabujących sklepy.

Nim zapadł wieczór, na ulicach miasta było już spokojniej. Przewalał się nimi nadal tłum pieszych, rowerzystów, wozów, na których spały umęczone dzieci, ale rabunki ustały przynajmniej w centrum.

O zmroku do gabinetu starosty, gdzie teraz siedział Burgraf, wpadł podniecony porucznik.

- Znaleźliśmy ponad sto karabinów, dwa erkaemy. Amunicji do cholery. Wziąłem dwadzieścia karabinów i jedną maszynkę, resztę zamknąłem i postawiłem wartownika.
- Czyli armię już mamy. Trzeba uzbroić przed nocą patrole, bo w ciemności żulia będzie się panoszyć. Do rabujących strzelać, ale z rozważą, aby nie ucierpieli Bogu ducha winni ludzie.

Po ciemnym korytarzu zadudniły szybkie kroki. Do pokoju wbiegł zziębnięty chłopiec.

- Panie poruczniku! Niemcy! - wyrzucił z siebie.
- Gdzie? Skąd? Mów jasno.
Nadjechali... od Siedlec... dwa motory z przyczepami... Nim kto zdążył co zrobić, przejechali jak duchy... i pognali na Brześć.

Zapadła cisza. Co robić? Czy to regularna armia, czy też jakiś zagubiony patrol? Bo jeśli armia, to dwudziestu harcerzy, strzelców, kilku żołnierzy i dwadzieścia karabinów - śmiechu warte!

- A może to tylko łącznicy tych oddziałów z Siedlec szukają kontaktu z jednostkami, które są w Brześciu? - myślał głośno Burgraf.
- Może. Ale wtedy trzeba ich likwidować. Póki nie nadciągnie jakiś duży oddział, miasto jest nasze.

Noc spędzili bezsennie, ale przebiegła ona spokojnie. Rano przyszedł jeden z miejscowych notabli. Był wymizerowany, nie ogolony i miał zaczerwienione oczy.

- Dziś rano sowieci przekroczyli granicę wschodnią na całej długości. Wiadomość tę podało przed chwilą angielskie radio. Sam słyszałem.

Po godzinie wpadł goniec z alarmującym meldunkiem.

- Niemcy! Te same dwa motory. Od Brześcia. Chyba wracają.
- Cholera! To denerwujące - zgrzytnął zębami porucznik. - Ustawię rkm na balkonie przy rynku i jak się jeszcze raz w małej grupce pokażą, wytlukę.
- Wojna się jeszcze nie skończyła, mamy więc chyba prawo walczyć - zaaprobował filozoficznie propozycję porucznika Burgraf.

Za chwilę lejek chłodnicy erkaemu wystawał niewinnie spomiędzy czerwonych pelargonii kwitnących bujnie na balkonie. Czy powtórzą swój rajd? Minęła jedna godzina i druga, słońce wchodziło coraz wyżej na bezwstydnie bezchmurne niebo, porucznik zrzucił więc kurtkę, ale trwał nadal z policzkiem przy kolbie.

Naraz z uliczki prowadzącej od Siedlec popłoch wymiółł w jednej chwili ludzi, którzy jeszcze przed minutą kręcili się tam i z powrotem. Jakiś żołnierz przytulony do drzewa nerwowo kiwał ręką w kierunku balkonu, ściągając z pleców karabin.

Wypadli z uliczki, nim doszedł do porucznika wysoki jazgot silników. Dwa motory z przyczepami, jak szalone, pędziły na ukos, każdy dosiadany przez trzech zwałistych, szarych od kurzu żołnierzy. Głębokie stalowe hełmy zakrywały im twarze aż po nos.

Gdy celownik zszedł się ze skrzyżowaniem pasów na piersi kierowcy pierwszego motoru, porucznik ściągnął spust. Ryjek erkaemu między pelargoniami zakwitł drgającym, żółtym ogniem. Kierowcę i siedzącego za nim zważyło jakby pięścią z pędzącej maszyny. Ryli jeszcze butami kamienny bruk, gdy strzelec złapał już na celownik zaskoczonego erkaemistę z przyczepy motocykla i jedną celną serią zamknął mu oczy na zawsze.

Gwałtownie hamujący drugi motor dostał się w strugę pocisków, nim któryś z Niemców zdołał zeskoczyć. Ekrazytowa seria przejechała po zbiorniku, wyzwoliła benzynę, fuknęło i trzy płonące kukły wyjąc i jęcząc zaczęły tarzać się po bruku. Rkm prał w nie tak długo, aż znieruchomiały.

Cisza po tej kanonadzie dzwoniła w uszach.

Strzelec czekał na następnych, którzy niechybnie wpadną w siad za motocyklistami. Ale nie było słycać nic.

Z bram i uliczek zaczęli się wysypywać ludzie; wnet miejsce walki otoczył zwarty tłum, który chciał zobaczyć pierwszych w tej wojnie Niemców, i to Niemców martwych. Jeden motor płonął jasnym płomieniem, w drugim, nienaruszonym, wywróconym tylko na bok, Na dwie przygodne fury wrzucili sześć ciał i szybko wywieźli za miasto, aby tam zakopać je bez śladu i uchronić miasto od represji.

Po likwidacji tego patrolu Niemcy zaprzestali samotnych rajdów. Minął we względnym spokoju dzień jeden, drugi, trzeci. Wreszcie któregoś ranka, gdy Burgraf zdrzemnął się na chwilę, obudziło go nerwowe szarpanie za ramię.

- Czołgi wjeżdżają do Białej - mówił bladej, nie ogolony porucznik.
- Niemieckie?
- Nie. Bolszewickie.
- Czyli nasza rola skończona.

Uścisnęli sobie mocno ręce.

- Co pan teraz zrobi, poruczniku?
- Ja jestem stąd, niedaleko. Mam trochę chłopców, zamelinujemy się, przeczekamy. Niech się sytuacja trochę wyjaśni. Wtedy coś się zrobi, jakiś oddział. Nie wiem jeszcze. To wszystko za szybko poszło. A pan?
- Ja idę do Warszawy. Jeszcze się podobno broni. Może uda mi się przedrzeć? Ma pan klucze od zbrojowni fabrycznej. Tam zostało sto karabinów. Pamięta pan?

Ucałowali się krótko, po męsku.

Tak więc Burgraf, samowwający komendant miasta Biała Podlaska, podjął znowu przerwany wypadkami marsz ku Warszawie. Na rynku Białej minął stojące długim szeregiem tankietki, odpalił „skręta” od żołnierza w skórzanym hełmie z czerwoną gwiazdą i wyszedł za rogatki.

Aż do Międzyrzecza Podlaskiego mijały go radzieckie patrole motocyklowe, czołgi i ciężarówki wypełnione śpiewającym wojskiem.

Za Międzyrzecem wszystko to zniknęło, tylko baczne oko obserwatora mogło zauważyć w lesie między drzewami doskonale zamaskowane gniazda cekaemów i baterie dział z lufami skierowanymi na zachód. Otwarte jaszczce pełne były długich, obłych pocisków.

Fiu! Ładne przyjęcie sojuszników - myślał Burgraf idąc po ziemi niczyjej.

Dwa kilometry dalej znów zaczynały się lasy. Wraz z dziesiątkiem takich jak on wszedł między pierwsze drzewa i wtedy dopiero, w gąszczu leszczyny dostrzegł zwałiste, szare kształty samochodów pancernych z czarnymi krzyżami na przedniej płycie. Lufy cekaemów z założonymi taśmami skierowane były na Międzyrzec.

Był więc pod okupacją niemiecką. Przebycie stu osiemdziesięciu kilometrów dzielących Białą od Warszawy, zamiast pięciu dni, zajęło mu prawie trzy tygodnie. Musiał bowiem omijać główne szosy, gdyż Niemcy, bojąc się zasadzek ze strony broniących się ciągle na południu pułków gen. Franciszka Kleeberga, otwierali bez ostrzeżenia ogień do każdej większej grupy, która im się wydawała podejrzana.

Wreszcie w końcu drugiej dekady października naczelnik zobaczył na horyzoncie Warszawę. Już nie dymiła pożarami, ale strach go zdjął na samą myśl jak wygląda z bliska to pogruchotane miasto.

Do domu dotarł już późnym wieczorem, przemykając się chyłkiem pod murami domów i wykorzystując znane sobie przejścia, gdyż godzina policyjna zaskoczyła go o kilka przecznic przed jego ulicą. W domu zastał wszystkich żywych, szczęśliwie przetrzymali prawie trzytygodniowe oblężenie miasta. O tym jednak, co się dzieje w Urzędzie, nikt z domowników nie potrafił mu nic powiedzieć.

Pobiegł tam zaraz nazajutrz. Cały plac Starynkiewicza, który Burgraf pamiętał jako wielką kępę zieleni, poryty był dziesiątkami lejów bombowych. Budynek Izby na Lindleya robił przygnębiające wrażenie. Okna pozbawione szyb albo ziały pustką i martwością, albo też raziły oko jaskrawymi plamami tektury. W całym gmachu pełno było rozbieganych ludzi. W pokojach, salach, a nawet w korytarzach stały jedne przy drugich dziesiątki, setki łóżek, w powietrzu zaś unosił się ostry zapach jodoformu i dawno nie mytych ludzkich ciał.

Jęki rannych mieszały się tu z poleceniami lekarzy i rozmowami biegających ludzi.

- Pan naczelnik - usłyszał naraz od drzwi portierni znany sobie od lat głos Józefa. - Pan naczelnik też wrócił - zachlipał. - Oj, skończyła się nam Polska, panie naczelniku, skończyła.
- Cieszę się, że pana widzę zdrowego. Co się tu, na miłość boską, dzieje?
- A no cóż, taki los spotkał nasz Urząd. Najpierw stało tu wojsko, potem, jak niemiecka bomba rozbiła skrzydło szpitala Dzieciątka Jezus naprzeciwko, tutaj przenieśli rannych. I tak zostało.
- A akta?

Portier machnął ręką.

- Wszystko wrzucone na kupę do dwóch pokoików.
- A skarbiec?
- Wojsko otworzyło i tak stoi.

Naczelnik poszedł do podziemi. Ciężkie pancerne drzwi ustąpiły bez trudu za przekręceniem kółka. Na podłodze skarbcza poniewierały się tysiące obligacji, w kącie stały poprzewracane srebrne lichtarze, część depozytowych wartości, ale rzeczy najważniejszej, skrzynek z „drobiazgami” depozytowymi, nie było.

Portier na górze rozłożył ręce.

- Coś tam wojsko wynosiło. Widziałem potem te skrzynki, jak leżały na korytarzu, ale co dalej się z nimi stało, nie wiem. Ja też dopiero od kilku dni jestem tu stale, bo dotychczas tylko dochodziłem. Nie zdążyłem się jeszcze dokładnie rozejrzeć. Poszli więc na poszukiwania: chodzili po pokojach, po korytarzach, przepędzani przez lekarzy zaglądali pod łóżka, do szaf, do zagraconych schowków. Wszystko bezskutecznie. Skrzynek nigdzie nie mogli znaleźć.
- Gdy po bezowocnych poszukiwaniach zrezygnowani zeszli zapasowymi schodami na dół, na korytarzu na parterze, pod oknem, zobaczyli grupkę ludzi otaczającą któregoś z lżej rannych. Wszyscy siedzieli na skrzynkach, na t y c h właśnie, poszukiwanych przez Burgrafa skrzynkach. Naczelnik na ich widok poczuł przypływ krwi do głowy i ledwo się opanował. Rzeczą najważniejszą było w tej chwili stwierdzenie, czy skrzynki były pełne, czy też splądrowane?

- Panie Józefie, niewygodnie tu ludziom tak siedzieć na tych drewnianych skrzynkach. Przyniesiemy ze trzy ławki z piwnicy, a to trzeba sprzątnąć, bo przeszkadza - polecił naczelnik.

Po kwadransie skrzynki, nienaruszone, takie jak je zostawił półtora miesiąca temu, znalazły się z powrotem w skarbcu, zaś ludzie na korytarzu wdzięczni za troskliwość rozsiedli się na przyniesionych ławkach.

- Czy był tu już ktoś z naszych urzędników?
- Wczoraj widziałem pana Falandysza, pana Przybysia, jest pan skarbnik. Przyszli, popatrzyli, pokiwali głowami i poszli.
- A pan dyrektor Drojanowski?
- Jeszcze nie widziałem. Widocznie nie wrócił, bo zaraz by tu przyszedł. Nie wiadomo zresztą, czy wróci. Tyle ludzi zginęło.
- Panie Józefie, proszę zaraz iść do pana skarbnika i pana Przybysia i powiedzieć, żeby przyszli tu o siódmej wieczorem. Bardzo ich proszę w pilnej sprawie.

Wieczorem weszli w trójkę do skarbcu i pozostawiwszy Józefa na straży, zaczęli rozbijać drewniane skrzynki. Po ich otwarciu wyjęli z nich setki dużych, grubych kopert, na których odczytali dokładnie wypisane numery spraw, nazwiska, adresy, rodzaj przedmiotu, wartość i wagę. Następnie rozdarli szare koperty i wysypali na stół złote zegarki, bransoletki, pierścienie z perłami jak groch, z brylantami, szmaragdami, rubinami, złote spinki do mankietów, szpilki do krawatów z drogimi kamieniami, złote monety z dukatowego kruszcu - słowem olbrzymi majątek.

Ze skrupulatnością, do jakiej nawykli od lat, rozpoczęli sporządzanie spisu. Na pierwszy ogień poszły drobniejsze przedmioty:

poz. 66. moneta złota 20 franków z 1865 r. ... poz. 70. moneta złota 10 zł polskich z 1925 r. (Chrobry)... poz. 76. wisiołek z bryłki złota...
 poz. 79. kolczyki - para złota z platyną z 4 diamentami...
 poz. 83. wisiołek, perła w złocie...
 poz. 86. broszka złota, koniczynka z rubinów..."²

Wreszcie przedmioty większe, których wartość sięga dziesiątków tysięcy złotych:

„...poz. 146. torebka złota, siatkowa, próba 3, wysadzana 14 brylancikami i 12 rubinami - wagi 165 mg,
 poz. 147, w torebce pod pozycją 146, brylancików różnej wielkości 106 szt. wagi 2005 miligramów, 1 brylant wagi 95,0 mg, 1 rubin większy i 1 szmaragd drobny wagi 28,0 mg...”

Było już dobrze po północy, gdy skarbnik I Urzędu Skarbowego odłożył kopiowy ołówek i długo gimnastykował ścierpniętą dłoń. Lista obejmowała 291 pozycji i pod tym numerem figurowała:

„poz. 291, bransoletka biała, sypana brylancikami wagi 277 mg”.

Podpisali w milczeniu każdy z jedenastu arkuszy podaniowego papieru, zgarnęli do teczki całe to wielkie bogactwo, złożyli wykaz do koperty, zakleili i...

- I co teraz mamy z tym zrobić? - zapytał naczelnik Przybyś.

38.

- Myślę już nad tym od kilku godzin - odparł Burgraf. - Przecież nie możemy tego tutaj zostawić. Skarbiec jest rozbity, właściwie nie daje żadnej ochrony. Lada dzień budynek zajmą Niemcy. Czy ktoś z panów ma jakiś projekt?

Nikt nie zabrał głosu. Naraz skarbnik podsunął:

- Może dyrektor Drojanowski coś poradzi?
- Ba! Może. Ale dyrektora nie ma. Pytałem woźnego - odparł Burgraf.
- Wczoraj spotkałem go na ulicy. Już wrócił. I jutro, a właściwie już dzisiaj ma być w urzędzie.

Zakopali więc teczkę w stercie porozrzucanych obligacji, przywalili porozbijanymi skrzynkami i jak mogli zabezpieczyli rozbite pancerne drzwi. Do świtu przesiedzieli w portierni, a gdy tylko minęła godzina policyjna, pobiegli do domów, aby się ogolić i umyć.

Kilka minut po dziesiątej naczelnik był już z powrotem w Izbie. Nie znalazł Józefa na posterunku, zaczął więc szukać portiera najpierw na parterze, potem na piętrze. Długo to trwało, aż w końcu korytarza na piętrze zobaczył dwóch mężczyzn wynoszących z maleńkiego, zagraconego pokoiku skrzynkę z aktami. Jednym z nich był niewątpliwie Józef, ale drugi?

Musiał podejść bliżej, aby rozpoznać w nim swego zwierzchnika - dyr. Drojanowskiego. Powitanie było serdeczne; przyglądali się sobie nawzajem i choć zapewniali, że wyglądają tak jak wczoraj, w duchu stwierdzili, że każdy z nich zsurowiał, ściemniał - i co tu dużo mówić - postarzał się o kilka lat.

- No cóż, naczelniku, zaczynamy urzędowanie.
- Ale przecież Niemcy...
- Niemcy to inna sprawa. Najważniejsze to zatrudnić naszych ludzi, zalegalizować ich, dać papierek do ręki, a później - zobaczymy. Trzeba się wystarać o jakiś zastępczy lokal dla szpitala, ten doprowadzić do porządku, na razie zaczniemy od tego pokoiku.
- Panie Józefie, ja już pomogę panu dyrektorowi sprzątać, a pan niech daje baczenie na wszystko.

Gdy zostali sami, naczelnik dokładnie zamknął drzwi i odciągnął Drojanowskiego pod samo okno. Tam półszepsem wtajemniczył go w sprawę skarbu.

- Ładna sprawa. Akurat teraz. Za półtorej godziny Niemcy przejmują budynek. Ile tego jest? Jaka wartość?
- Jest tego ponad 8 kilogramów. Samo złoto i drogie kamienie. Wartość? Na dzień 31 sierpnia było to oszacowane na dziesięć milionów złotych w złocie. Czyli dwa i pół miliona dolarów.
- To majątek. Tak, tego nie możemy w żadnym wypadku oddać Niemcom. Czy to spisane?
- Siedzieliśmy nad spisem pół nocy.
- Dobrze. Proszę to zaraz zanieść do mego mieszkania. Spis niech pan zachowa. Powoła pan zaraz komisję inwentaryzacyjną i przystąpi do spisu inwentarza. Naturalnie minus skarb. Gdyby ktoś pytał, wojsko rozbiło skarbiec, my zastaliśmy taki stan.

Po godzinie na korytarzu w podziemiu zastukały wojskowe buty. Józef wprowadził dwóch cywilów w tyrolskich kapelusikach w towarzystwie kilku uzbrojonych żołnierzy niemieckich.

- Heil Hitler! - wyrzucili w górę prawice. - Panowie co tutaj robią? - zapytali ostro.
- Jesteśmy komisją inwentaryzacyjną powołaną przez dyrektora Izby. Robimy spis stanu, jaki zastaliśmy po opuszczeniu budynku przez wojsko.
- Dobrze. Jeden z was zostanie z nami, my dokończymy spisu. Resztę proszę na górę.

W tym samym mniej więcej czasie otwarto bez pukania drzwi tymczasowego gabinetu dyr. Drojanowskiego. Stał w nich cywil, za nim kilku żołnierzy.

- Czy to pan był dyrektorem Izby Skarbowej?

Dyrektor Drojanowski uniósł się z krzesła.

- Jestem dyrektorem Izby. Słucham pana.
- Był pan. Moje nazwisko Lier - skinął krótko ostrzyżoną głową. - W imieniu Rzeszy Niemieckiej obejmuję komisaryczny nadzór nad Izbą. Pan od tej chwili osobiście odpowiada za swoich pracowników i za ścisłe przestrzeganie moich poleceń. Proszę natychmiast porozumieć się z polskim zarządem miasta, aby bezzwłocznie przydzielił jakiś lokal dla szpitala. Pan zaś zajmie się możliwie najszybszym skompletowaniem personelu. Powinni się natychmiast zameldować wszyscy dawni pracownicy. Odpowiednie zarządzenia będą rozplakatowane za dwa, trzy dni na terenie całego miasta.

Tak odbyło się przejęcie Izby przez Niemców. Rozmowy Drojanowskiego na Ratuszu o ewakuowaniu szpitala nie miały natychmiastowego skutku, a tymczasem Lier naciskał. Powoli jednak szpital kurczył się i otrzymując inne pomieszczenia, zwalniał pokój po pokoju.

Teraz Drojanowski, Burgraf, Przybyś, Falandysz i inni spędzali całe dni na bieganiu po mieście, aby zdobyć trochę szkła ze skąpych dostaw, a potem wyrywanych sobie z rąk do rąk szklarzy. Jesień była już w pełni, dzień po dniu przynosił coraz więcej deszczu i chłodu. Teczka ze skarbem spoczywała tymczasem na pawlaczku w mieszkaniu Drojanowskiego. Był to jeden z najmniej pewnych schowków, gdyż współpraca z Lierem nie układała się pomyślnie. Niemiec nierzadko posuwał się do grózb i nie wiadomo było, czy w każdej chwili ich nie spełni. W wypadku zaś rewizji los skarbu byłby przesądzony.

Dyrektor postanowił więc jak najszybciej usunąć teczkę ze swego mieszkania. Nie czuł się przy tym powołany do przechowywania takich wartości, gdy dookoła nędza, głód i ruiny. Uważał, że ten majątek powinien służyć złagodzeniu nieszczęść i dlatego należałoby go oddać w ręce bardziej odpowiednie, które mają możliwości właściwie go wykorzystać.

Myślał naturalnie o swoim koledze, Stefanie Starzyńskim, prezydencie Warszawy. Znali się dobrze od wielu lat, gdy Drojanowski, jako prezydent Lwowa, pełnił zastępczo (po Kościałkowskim) zaszczytną funkcję Prezesa Związku Polskich Miast. Ta znajomość w 1936 r. przerodziła się w coś więcej, z chwilą gdy ustępujący z tego stanowiska z racji powołania do Ministerstwa Skarbu Drojanowski przekazał prezesurę Związku Miast - prezydentowi Starzyńskiemu.

Teraz więc, pewien przychylności Starzyńskiego, udał się z tajną misją na Ratusz. Starzyński wysłuchał go w milczeniu, potem długo ważył odpowiedź.

- Panie kolego. Nie ma warunków na to, abym skarb mógł przejąć z przeznaczeniem na pomoc ludziom. To by wymagało czasu i aparatu całkowicie pewnego, a tym mógłby się zająć nie urząd, lecz konspiracja. Jedno, co można zrobić, to ukryć te wartości. Ale też nie jestem pewien, czy akurat my jesteśmy do tego powołani i czy u nas będą bezpieczne.

Proszę mi dać kilka dni czasu, zorientuję się i dam panu znać.

Kompromitująca teczka nie mogła jednak leżeć dłużej u Drojanowskiego, nawet przez kilka dni. Przeniósł ją więc do mieszkania swojej szwagierki, pierwszej żony gen. Orlicz-Dreszera, zaś lichtarze, tace i patery - do swojego byłego sekretarza z Ministerstwa Skarbu, I. Zenko. To pozwoliło mu na krótki czas odetchnąć w przekonaniu, że skarb wyszedł z kręgu skarbowców że na jego mieszkaniu ostatecznie urwał się ślad.

Po kilku dniach nadeszła oczekiwana z wielką niecierpliwością odpowiedź od prezydenta Starzyńskiego. Niestety negatywna..

Zbiegła się ona z sygnałami od p. Wandy Dreszerowej, że skarb nie może u niej leżeć dłużej, gdyż z domu, w którym mieszka, Polacy mają być wysiedleni, ponieważ ma tu powstać dzielnica niemiecka.

Dyrektor przebiegł w myśli wszystkich swoich znajomych, starając się znaleźć kogoś, kto najlepiej zaopiekuje się skarbem. Z góry wykluczył kolegów i przyjaciół z grona skarbowców, bo jeżeli nastąpi wpadka, to Niemcy tam przede wszystkim będą szukać. Wreszcie zdecydował się dopuścić do tajemnicy znaną malarkę, p. Natalię Jarczewską. Ta, po wysłuchaniu prośby, bez wahania wyraziła gotowość przyjęcia wypchanej teczki i tegoż samego dnia wieczorem osiem kilogramów kosztowności znalazło się już w jej mieszkaniu przy ulicy Chmielnej. Można więc było na jakiś czas odetchnąć. Ale nie za długo.

W końcu października słupy ogłoszeniowe stolicy, płoty i mury pokrywa różowe obwieszczenie w języku niemieckim i polskim, z którego wynika, że wszyscy byli pracownicy administracji polskiej, urzędów i biur obowiązani są stawić się natychmiast w miejscach swej pracy i podjąć ją pod rygorem kar przewidzianych postępowaniem na terenach objętych prawem wojny.

A więc obowiązek pracy dla okupanta, wzmacnianie jego potęgi, praca przeciwko sobie, swej ojczyźnie, wszystko jedno, czy się chce, niezależnie od tego, co się myśli.

Ileż konfliktów moralnych powstaje wśród czytających te różowe plakaty! Rodzą one pierwsze odruchy oporu. Część byłych urzędników postanawia nie stosować się do zarządzeń. Niezłe przedwojenne zarobki i oszczędności pozwoliły im wybudować sobie skromne domki, mają więc punkt oparcia, a że Niemcy grożą, iż nie wydadzą kartek żywnościowych- nie szkodzi; ogródki okalające domki pomogą przeżyć. To przecież już niedługo, za trzy, cztery miesiące będzie wiosna, a wtedy:

„...Im słończko wyżej

Tym Sikorski bliżej...”

Nie wszyscy jednak mogą sobie pozwolić na luksus zlekceważenia zarządzeń okupanta. Dla przytłaczającej większości urzędników praca i tylko praca jest jedyną podstawą ich bytu i egzystencji. Jak mają jednak pogodzić obowiązek utrzymywania domów, żon, dzieci, matek z czymś, co im się kojarzy ze zwykłą zdradą stanu - z pracą dla okupanta?

Od tych konfliktów nie są wolni również ci, którzy dotąd kierowali urzędami i biurami - dyrektorzy, kierownicy. Na pewno im łatwiej byłoby urządzić sobie jakoś życie bez powrotu za biurko, ale czują się nadal moralnymi przywódcami zespołów pracowniczych. Czy więc wolno im odejść i zostawić na pastwę losu cały personel? Czy niemieccy komisaryczni zarządcy nie będą mieli wtedy ułatwionej roboty w kierowaniu podwładnymi? Ale jeżeli w imię tego wszystkiego oni pozostaną na swych stanowiskach, czy kiedyś, kiedy skończy się III Rzesza, ktoś nie rzuci im w oczy epitetu - kolaborant?

W tej sytuacji dochodzi do spotkania tych, którzy mają podjąć decyzję. Inicjatorem i siłą dyspozycyjną jest tu prezydent Starzyński³. Od niego przychodzi do dyr. Drojanowskiego poufne zlecenie, aby w określonym dniu

listopada zjawił się w Okręgowej Dyrekcji Najwyższej Izby Kontroli w al. Szucha.

W zacisznym gabinecie znajduje się Mieczysław Dębski, dyrektor departamentu Najwyższej Izby Kontroli Państwa, dr Kazimierz Szelański - p.o. ministra Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego, Bronisław Ziemięcki - b. prezydent m. Łodzi, sędzia Sądu Apelacyjnego Kotarba, dyr. Drojanowski, delegat prezydenta Starzyńskiego i ktoś, kogo nikt nie zna, a kto podobno reprezentuje tę, o której mówi się szeptem - Polskę Podziemną.

Problem jest bardzo istotny - czy zbojkotować zarządzenia okupanta i narazić się na pogłębienie i tak już okrutnych represji, czy trwać w oporze, który okupant i tak złamie, czy przez ten opór, który poza demonstracją da niewiele, a wytrąci polskiemu kierownictwu wszelką inicjatywę z ręki, polska sprawa nie poniesie więcej strat niż zyska? W okresie szczytowego nasilenia nędzy i głodu, w okresie gdy miliony owdowiałych żon i osieroconych dzieci tych, którzy polegli lub znaleźli się za granicą czy w obozach jenieckich, potrzebują oparcia i pomocy materialnej i moralnej, ten krok byłby krokiem nierozważnym. Co do tego zgodzili się wszyscy obecni. Mało tego, im lepszym elementem polskim, bardziej bojowym, ale i rozważnym, obsadzimy możliwie największą liczbę stanowisk, tym łatwiejsza będzie potem penetracja konspiracji w tych urzędach. A więc pracę należy podjąć. Ale trzeba to właściwie rozumieć. Podjąć pracę, to nie znaczy pracować dla okupanta. Gdzie się da - opóźniać, gdzie można - dezorganizować, ale sprytnie, mądrze, by nie ściągać represji.

Po tej tajnej konferencji dyrekcja okręgowej Izby Skarbowej przy ul. Lindleya 14 otworzyła szeroko swoje podwoje dla byłych pracowników służby skarbowej. Jeśli któryś z naczelników miał jeszcze jakieś wątpliwości co do tego, czy jest to decyzja słuszna, z odprawy u dyr. Drojanowskiego wyszedł raczej przekonany.

3,....Ośrodkiem dyspozycji polskiej był podówczas Prezydent m. Warszawy Stefan Starzyński - do niego udałem się po dyrektywy (wraz z b. prezesem PZUW). Prezydent Starzyński polecił mi objąć Urząd (Izbę) i kierować aż do czasu, kiedy wykonywanie jej [kierowniczej funkcji - przyp. C. Ch.] uniemożliwią mi okupanci. Tak też uczyniłem..." Ze sprawozdania złożonego ministrowi Skarbu przez dyr. Drojanowskiego i towarzyszy 15 VIII 1945 r.

Tymczasem napływ kandydatów do pracy był o wiele większy niż realne możliwości zatrudnienia. Szpital wprawdzie dosyć szybko zwalniał poszczególne pomieszczenia, ale musieli tam jeszcze pracować szklarze, a ponieważ byli najbardziej poszukiwanymi rzemieślnikami w Warszawie i zdobycie szkła było bardzo trudne, wszystko to trwało tygodniami.

Niemniej żaden ze skarbowców zgłaszających się tu w listopadowe dni 1939 r. nie odszedł z kwitkiem. A zgłaszały się ich setki. Oprócz przedwojennego zespołu pracowników Izby zaczęli napływać urzędnicy byłego Ministerstwa Skarbu, którzy wobec likwidacji macierzystej instytucji tu chcieli znaleźć oparcie. Poza tym zjawiali się też bardzo liczni skarbowcy z terenów wcielonych do Rzeszy - z Gdyni, Bydgoszczy, Poznania, Łodzi i Katowic.

Byli to przeważnie ludzie znani tam przed wojną z patriotycznej postawy, którzy teraz woleli nie wracać do miejsc, gdzie mieszkali, a gdzie już przeprowadzano krwawe rozprawy z wszystkim, co polskie. Również i z ziem wschodnich, z Wilna, Nowogródka, Pińska, Brześcia, Łucka, Kowla, Lwowa, Stanisławowa i Tarnopola wielu skarbowców znalazło się w Warszawie i na Lindleya

szukało punktu oparcia. Wszyscy oni zostali zarejestrowani i zatrudnieni jako starzy, przedwojenni pracownicy.

Każdy z tych ludzi dostawał pierwszą pensję, która zawsze była jakąś podporą, choć złoty z dnia na dzień tracił wartość, otrzymywał kartki żywnościowe oraz - co chyba miało wartość największą - legitymację świadczącą o zatrudnieniu, a na to coraz większą uwagę zwracały liczne patrole niemieckie. Pracę w całym tego słowa znaczeniu mogła podjąć zaledwie część z nich: tylu, ilu mogły pomieścić zagęszczone ponad miarę pokoje^{4 5}.

Reszta zajmowała się tak powszechną w tym czasie działalnością zaopatrzeniową. Zbliżała się sroga zima, którą zapowiadały zimne, deszczowe dni listopada. Do warszawskich mieszkań zaczął zaglądać głód. Kto więc mógł, wynajmował wóz konny, a nieraz zwyczajny wózek ciągnięty przez ludzi czy nawet rower - i wyjeżdżał za miasto w poszukiwaniu żywności. Jeżdżono aż pod Grójec, pod Górę Kalwarię, aby kupić kartofli, trochę mąki, czasem cienką słoninę poprzerastaną mięsem. Jedni robili to na własną rękę, tylko dla siebie i swej rodziny, inni byli wydelegowani przez biura i urzędy. Ci spełniali rolę zaopatrzeniowców dla dziesiątków i setek ludzi. Właśnie taką pracę - dla koleżanek i kolegów- podjęło kilkanaście grup zaopatrzeniowców z Izby Skarbowej. Wszystko to było jednak tylko namiastką pomocy, plasterkiem, który przynosił zaledwie znikomą ulgę.

⁴ „...Praca moja, jak i współdziałających najściślej ze mną kolegów: Burgrafa, Przybysia

Sinnych, miała polegać w istocie swej

wyłącznie na: I akcji zatrudnienia i II akcji zapomogowej. Ad. I. Zgłaszających się w okresie październik - listopad 39 urzędników skarbowych ze wszystkich nieomal terenów Polski przyjmowano do służby, przy czym treść rzeczy spoczywała w formalnym ich zatrudnieniu z konsekwencjami: wypłaty poborów, realizacji wynagrodzeń ewakuacyjnych, zaopatrzeniu w legitymacje etc. O faktycznym zatrudnieniu ludzi nie mogło być mowy już to ze względu na otrzymane dyspozycje jak i ówczesny stan rzeczy oraz warunki lokalowe, bowiem dwa całe piętra gmachu Izby przekazano szpitalowi Dzieciątka Jezus. Na szeroką skalę stosowane urlopy przy pomocy przemyślnej, dość jednak ryzykownej manipulacji, regulowały [możliwości] angażowania i lokalu zarazem. Akcja tzw. zatrudnienia, które w istocie swej było fikcją, dawała nam wszakże podstawy formalne do wypłat poborów z zachowaniem polskiej procedury obowiązującej, a jawność postępowania asekurowała nas w pewnym stopniu. Po krótkim okresie względnej swobody, zarządzania okupacyjne utrudniały nam w zupełności nieomal kontynuowanie tej formy pomocy...” Ze sprawozdania... dyr. Drojanowskiego i towarzyszy.

Ludzie, szczególnie ci, którzy nie mieli stałego oparcia w Warszawie, a znaleźli się tu rzućeni losami wojny, pozbawieni mieszkań, dobytku, rodziny, znajomych, cierpieli nędzę. Trzeba im było bezzwłocznie pomóc, dać jakiś zastrzyk finansowy, jakąś zapomogę. Nie było jednak na taki cel żadnych funduszy. Wypłacano jedynie pobory, ściśle według przedwojennego zaszeregowania, choć ceny produktów, szczególnie żywnościowych, kupowanych pokątnie, stale zwyżkowały.

Najbliższa przyszłość miała przynieść częściowe rozwiązanie i na tym odcinku.

W końcu października, do pokoiku na I piętrze, gdzie urzędował dyr. Drojanowski, zapukał jeszcze jeden z pracowników byłego Ministerstwa

Skarbu, szukający tu pracy i oparcia. Był to jeden z inspektorów Departamentu Podatków, znany dyrektorowi jeszcze z czasów wspólnej pracy w Ministerstwie - Tadeusz Dietrich⁶.

Poczęstowany szklanką gorącej herbaty, a właściwie wody zabarwionej palonym cukrem na herbaciany kolor, opowiadał o swej dwuipółmiesięcznej wędrówce aż za Bug. W ostatnich dniach sierpnia został mianowany - na wypadek wojny - inspektorem ewakuacyjnym i dysponentem bardzo pokaźnego funduszu. Należał do tych kilkunastu ludzi, którzy w dniu 1 września otrzymali z kasy państwowej wysokie kwoty oraz rozkaz wyjazdu w ściśle określony region kraju. Tam, o ile zauważyliby sytuację wymagającą natychmiastowej interwencji pieniężnej, mieli dysponować powierzonym funduszem według zaistniałych potrzeb i własnego uznania.

- Miałem 200 tysięcy złotych. Nie natknąłem się w czasie całej mej podróży ani razu na sytuację, w której musiałbym naruszyć fundusz państwowy. Do 17 września uważałem, że takie chwile nadejdą. Później zaś uznałem swoją misję za zakończoną i postanowiłem wracać do Warszawy. Obawiałem się jednak, że w wypadku jakiejś rewizji czy kontroli taka ilość pieniędzy może mnie zgubić. Złożyłem je więc do worka i zakopałem. Leży gdzieś tam za Brześciem i pewno butwieje. Taki majątek, gdy w Warszawie tylu ludzi cierpi biedę. Nie daje mi spokoju myśl, że tutaj te pieniądze tak bardzo by się przydały.

Tak oto dyr. Drojanowskiemu po raz drugi w ciągu krótkiego czasu powierzono tajemnicę związaną ze skarbem, tym razem kilkusetmilionowym. Trudno było jednak wiązać jakiegokolwiek nadzieje ze znaczną co prawda kwotą, ale zakopaną prawie 300 km od Warszawy, w miejscu oddzielonym od niej granicą na Bugu, pilnie strzeżoną zarówno przez Rosjan, jak i przez Niemców. Jednak myśl, że te tak potrzebne kwoty leżą gdzieś tam na wschodzie bez żadnego pożytku, nie dawała spokoju i nie pozwalała zostawić sprawy bez dalszego biegu.

Toteż po przyjeździe do domu Drojanowski zaczął na nowo rozważać całą, ujawnioną mu przez Dietricha, sprawę, a nazajutrz rano polecił poprosić do swego pokoju nowo przyjętego urzędnika.

- Panie inspektorze, czy pamięta pan dokładnie miejsce, w którym zakopał pan te pieniądze?

- Naturalnie. Na pięćdziesiątym kilometrze szosy z Brześcia do Kowla, przy kilometrowym słupie, od szosy odchodzi pod kątem prostym ścieżka. Trzeba przejść dwieście kroków i na skrzyżowaniu z drugą ścieżką skręcić w lewo. Po przejściu pięćdziesięciu kroków dochodzi się do stojącego przy ścieżce samotnego drzewa. Dwadzieścia kroków na południe od niego, w zagonie żyta zakopane są pieniądze. Na korze drzewa wyryłem nożem strzałkę, wskazującą kierunek, w którym należy szukać.
- Ale tam do dzisiaj wszystko jest na pewno zżęte, zebrane, ziemia pewnie zaorana, o ile nie zasiana, a pieniądze wykopane.
- Jeżeli wtedy, gdy zakopywałem, a więc w początkach października, zboże nie było zebrane, to stoi pewnie i do dzisiaj. Pieniądze zaś zakopałem głęboko, najmniej pół metra, więc nawet przy najgłębszym oraniu nikt się do nich nie dostał.

Dyrektor podsuwa rozmówcy papier i ołówek.

- Proszę narysować dokładny plan tego miejsca.

Tadeusz Dietrich patrzy na dyrektora z rosnącym zdumieniem.

- Po co? Czyżby pan dyrektor miał zamiar...
- Zobaczymy. Może warto spróbować.

Inspektor rysuje więc plan, sprawdza jeszcze jakieś odległości w notatniku i po chwili oddaje gotowy szkic.

- Gdybyśmy podjęli jakieś kroki w tej sprawie, będziemy prosili pana o dalsze informacje - mówi dyrektor. - Na razie dziękuję panu i proszę o pełną dyskrecję.

Choć szanse odszukania zakopanych pieniędzy są prawie żadne, dyrektor nie przestaje o tym myśleć. Kto jednak podejmie wielkie ryzyko tej arcyniebezpiecznej wyprawy przez granicę, na której, jak niesie powszechna wieść, nie ma nocy bez strzelaniny? Czy wolno dyrektorowi nawet w imię tak szczytnych celów narażać ludzi na takie niebezpieczeństwo? Nie wiadomo poza tym, w jakim stanie zakopane w ziemi pieniądze przetrwały słotny październik i listopad. Czy w ogóle się je odnajdzie, nawet jeżeli komuś uda się tam dotrzeć? Czy plan Dietricha jest dokładny?

Dyrektor dzieli się swymi projektami i wątpliwościami z Przybysiem, kierownikiem Oddziału Osobowego, bo przecież te 200 tysięcy to okazja zorganizowania pomocy dla setek potrzebujących.

- Gra warta świeczki - stwierdza ten po namyśle.
- Ale kto tam pojedzie?

Chwilę zastanawiają się.

- Może Banasiewicz? Rzutki, dobry organizator.

Kandydat wydaje się być niezły. Trzeba więc niezwłocznie z nim porozmawiać. Banasiewicz zapala się do tej wyprawy, choć Drojanowski nie ukrywa przed nim niebezpieczeństw, na które może być narażony. W następnym spotkaniu uczestniczy Dietrich, jeszcze trzy tygodnie temu był po tamtej stronie Bugu - zna najlepiej panujące tam stosunki i wie, na co zwracać uwagę, a czego się wystrzegać. Dietrich uzbraja Banasiewicza w tysiące rad, jeszcze raz rysuje dokładny plan i wreszcie w początkach trzeciej dekady listopada Banasiewicz, dobrawszy sobie kompanów, podobnych sobie entuzjastów, wyrusza na niebezpieczną wyprawę, zaopatrzone oprócz błogosławieństwa - w 1500 złotych wyłożonych z prywatnej kieszeni dyrektora.

Po dwóch dniach wraca jednak z pustymi rękami. Dojechali do Bugu koło Terespoła, próbowali złapać jakiś kontakt na przewoźników, ale każdy się boi, gdyż granica strzeżona jest bardzo silnie z obu stron; przy tym ich dosyć intensywne poszukiwania możliwości przejścia zwróciły uwagę miejscowej ludności i sprawa stała się niebezpiecznie powszechna.

Pierwsze niepowodzenie nie zniechęca ich jednak i po kilku dniach wyruszają na wyprawę ponownie, tym razem na „suche przejście” koło Małkini, gdzie podobno jest łatwiej. Ale po upływie następnych trzech dni dyrektor widzi ich znowu w swoim gabinecie. Nie potrzebują nawet tłumaczyć się, ich widok mówi więcej niż słowa. Trzeciej wyprawy oni już na pewno nie podejmą. Koło Małkini jest podobno jeszcze gorzej.

Trzeba na razie poniechać realizacji tych śmiałych planów, tym bardziej że okupant dokłada starań, aby zatrudnić ponad miarę i obowiązek zawodowy dobrany zespół skarbowców. Mury miasta pokrywają znowu różowe dwujęzyczne afisze, obwieszczające, że wszyscy oficerowie Wojska Polskiego mają się zgłosić do obowiązkowej rejestracji i to w nieprzekraczalnym terminie do 30 listopada. Kto zaniedba tego obowiązku, będzie ukarany z całą surowością prawa, aż do kary śmierci włącznie.

Nie ma wątpliwości, że jest to jeszcze jedna próba wyeliminowania ze społeczeństwa dość licznej grupy oficerów, którym udało się dotąd uniknąć niewoli. Równocześnie z rozlepianiem afiszy dyr. Drojanowski zostaje powiadomiony przez dobrze zorientowanych ludzi, że Niemcy, a szczególnie komisaryczni zarządcy urzędów, przystąpią niezwłocznie do sprawdzania akt personalnych wszystkich mężczyzn, aby ujawnić ukrywających się wojskowych.

Trzeba więc natychmiast wyłonić ze swego grona zaufany zespół pracowników, który następnie przez ponad tydzień, po kilka godzin dziennie po godzinach urzędowania, w zamkniętym i zaciemnionym pokoju będzie skrupulatnie przeglądał wszystkie akta personalne, wywabiał stopnie wojskowe zastępując je wpisem „rezerwa” lub „zwolniony ze służby wojskowej na skutek złego stanu zdrowia”, a tam, gdzie przeróbki byłyby zbyt widoczne, będzie wypisywał nowe akta personalne, dokonawszy uprzednio skomplikowanego „postarzenia” blankietu.

W wyniku tej żmudnej pracy, po tygodniu zespół Izby Skarbowej jest gwałtownie odwojskowany. Jest to tytuł do jeszcze jednego westchnienia ulgi, którą przynosi świadomość spełnienia kolejnego czynu przynoszącego pomoc innym. Dotąd, gdziekolwiek się zwrócili, napotykali wyłącznie ludzi prawych, szlachetnych, którzy nie wahali się współdziałać z nimi, narażając dla tej sprawy bezpieczeństwo swoje i swoich najbliższych. Niedługo jednak przyszłość miała pokazać, że są w warszawskiej społeczności również ludzie innego autoramentu.

Pewnego dnia, w początkach grudnia, do gabinetu dyr. Drojanowskiego zapukał nowy petent. Twarz przybysza wydawała się Drojanowskiemu znajoma, nie mógł jednak na razie skojarzyć jej z żadną z zachowanych w pamięci sytuacji. Dopiero gdy gość przemówił sepleniąc, przypomniały się Drojanowskiemu wydarzenia sprzed trzech lat.

- Pan dyrektor chyba sobie mnie nie przypomina. Jestem S. Do 1937 r. pracowałem w Urzędzie Skarbowym w N. Ale pan mnie polecił wtedy zwolnić, bo ktoś doniósł, że biorę łapówki. Było to niesłuszne, zresztą może mi pan wierzyć albo nie, dziś mi na tym nie zależy. Ale mam do pana prośbę. Chodzi mi o przyjęcie z powrotem do służby skarbowej. No i chciałbym, aby ta wasza opieka finansowa, jaką prowadzicie wśród skarbowców, nie ominęła również mnie, i to w postaci jakiejś okrągłej sumki. Jak pan widzi, wiem dużo.

Drojanowski zachowuje spokój, choć udaje mu się to tylko z wielkim wysiłkiem.

- O żadnej pomocy nie wiem, ktoś panu nagadał bredni. Jeśli zaś chodzi o przyjęcie do pracy, to zespół mamy już skompletowany. Wie pan przecież, że mamy tu komisaryczny zarząd niemiecki.
- Panie dyrektorze, ja się nie dam zbyć byle czym. Albo praca i jakaś okrągła sumka, albo... Wiem, że ostatnio przeprowadziliście wyczyszczenie dokumentów personalnych i usunęliście wszystkie adnotacje z dowodów oficerów, którzy u was pracują. To jest sabotowanie zarządzeń władz niemieckich. Mam zamiar iść na plac Saski do niemieckiego sztabu i zameldować o tym.

Trzeba dużego opanowania, by nie palnąć w pysk takiej kanalii. Ale za tę krótkotrwałą przyjemność i satysfakcję można ciężko odpokutować wraz z całym zespołem oraz pogrzebać akcję zmontowaną maksymalnym wysiłkiem tylu ludzi. Należy na razie zapewnić sobie milczenie tego niebezpiecznego człowieka; choć na dwa, trzy dni.

- O tych oficerach to również kłamstwo. Ponieważ jednak pana informacje czy zarzuty wymagają protokolarnego opracowania, proszę zgłosić się z tą sprawą do naczelnika Skrzetuskiego.

Naiwny czy może aż tak bezczelny szantażysta idzie za „radą” dyrektora do Skrzetuskiego, gdzie w protokole potwierdza nie tylko wszystkie wyrażone zarzuty, ale także groźbę, że pójdzie zadenujcować skarbowców, ukrywających polskich oficerów. Tego dyr. Drojanowski nie może puścić płazem.

Po godzinie dzwoni do drzwi pewnego, znanego tylko niewielu ludziom, lokalu. Tam, w małym pokoiku, przekazuje przebieg dzisiejszej rozmowy. Młody mężczyzna notuje na karteczce nazwisko, imię, dokładny adres nie* dawnego peterita Izby, i mówi:

- Kanalia! Panie dyrektorze, może pan być spokojny. On już do pana więcej nie przyjdzie. Zajmiemy się nim.

Rzeczywiście Drojanowski już nigdy nie spotkał byłego skarbowca z N.

W tym czasie w połowie grudnia 1939 r. powstaje sytuacja, w której dyr. Drojanowski nie widzi już dla siebie miejsca w Izbie. Lier, pochłonięty innymi sprawami nie miał dotąd czasu zająć się obsadą personalną Izby, teraz postanawia pozbyć się niewygodnego zastępcy, wyczuwając w nim źródło oporu. Proponuje dyrektorowi stanowisko kierownika I Urzędu Skarbowego, zajmowane dotąd przez naczelnika Burgrafa. Drojanowski naturalnie odmawia i w rezultacie musi się rozstać ze swą placówką. Zespołem pracowników w jego tajnym działaniu będzie kierował nadal ze swego mieszkania, do którego przychodzą po instrukcje wtajemniczeni.

Trochę oszczędności, jakie posiada, pozwoli mu na przeżycie kilku miesięcy bez podejmowania pracy zawodowej, na którą temu pochłoniętemu działalnością społeczną człowiekowi braknie po prostu czasu. Lewe papiery znakomicie ułatwiają poruszanie się po mieście, a na pracę przyjdzie czas później.

Po załatwieniu tej sprawy można ponownie zająć się zakopanymi przy kowelskiej szosie 200 tysiącami złotych. Trzeba zacząć wszystko od nowa, przede wszystkim skompletować ekipę. Poza tym najważniejszy problem - jak widać z dotychczasowego przebiegu wydarzeń-to sforsowanie Bugu. Kto to potrafi?

- Może Falandysz, panie dyrektorze? - proponuje Przybyś, który z racji swego stanowiska kierownika Oddziału Osobowego Izby wie o pracownikach więcej niż sam dyrektor. - Falandysz chyba ma kogoś z rodziny nad Bugiem, bo wiem, że przed wojną dosyć często tam jeździł.

Józef Falandysz, to chyba dobry wybór! Dyrektor lubi tego niewysokiego mężczyznę, który mimo swoich 29 lat jest już kierownikiem jednego z wydziałów Izby.

Zaproszony do mieszkania Drojanowskiego nie zapala się od razu do projektu, a chłodno rozważa możliwości:

- Mam w Kodniu, nad samym Bugiem, brata. Jest tam od wielu lat kierownikiem szkoły. Przy jego pomocy, a na pewno jej nie odmówi, przepłynięcie Bugu nie powinno stanowić problemu. Ale co dalej?
- Czy mamy przez to rozumieć, że pan nie reflektuje na udział w tej wyprawie?
- Przeciwnie! Jak najbardziej tak! Zestawiam tylko szanse powodzenia. Naturalnie, nie pójdę sam. Mogę pomóc, ale nie kierować. Mam na to za mało doświadczenia. A poza tym nie znam rosyjskiego w takim stopniu, jak tam trzeba znać.
- Może więc poprosić Bańkowskiego? - podsuwa Przybyś. - To wieloletni pracownik Ochrony Skarbowej, a pan dyrektor przecież wie, co to była za służba. Z niejednego pieca chleb jadł, rzutki, energiczny, a rosyjskim włada chyba lepiej niż polskim. I o ile go znam, zgodzi się na naszą propozycję, bo lubi takie rzeczy.
- A kto trzeci?
- Może kobieta? - podsuwa Falandysz. - Trzech mężczyzn, to zawsze zwraca uwagę, a obecność kobiety usypia czujność.

Przybysz dość długo trze brodę, co u niego oznacza koncentrację umysłu:

- Może Zofia Geblowa z rachuby? Młoda, wysportowana, energiczna kobieta i, o ile wiem, zna dobrze rosyjski.

Nazajutrz w mieszkaniu dyrektora jest już cała trójka kandydatów. Obok gospodarza i Przybysia zjawia się tu zaproszony także Dietrich. Zarówno Geblowa, jak i Bańkowski wyrażają zgodę na udział w wyprawie, choć Drojanowski nie ukrywa przed nimi niebezpieczeństw z nią związanych.

I znów, już po raz czwarty z rzędu, Tadeusz Dietrich rysuje swój plan, podaje odległości, opisuje, jak wygląda kilometrowy słupek i drzewo z wyrytą na korze strzałką.

Falandysz i towarzysze postanawiają wyjechać natychmiast, czyli w ciągu najbliższych trzech dni, gdy tylko zakończą niezbędne przygotowania. Pogoda psuje się bowiem coraz bardziej, deszcz ze śniegiem pada coraz częściej i codzienne przymrozki ścinają w zdradliwe ślizgawice wodę na mokrych chodnikach. Tylko patrzeć fali wielkiego mrozu i wtedy bez kilofa ani rusz, a to może położyć całą wyprawę.

Oddział Osobowy wystawił im odpowiednio postarzone, wyświechtane i wybrudzone legitymacje skarbowców z datą sprzed kilku lat, w których obok prawdziwych danych personalnych jak nazwisko, imię, data i miejsce urodzenia, zmieniono ich „przynależność klasową”, wypisując takie zawody jak portier, sprzątaczką, woźny, słusznie uważając, że „rabocziej naród” szybciej się dogada z żołnierzami na tamtym brzegu Bugu.

Gebłowa wypożyczyła trzy sfatygowane plecaki, Bańkowski ma składaną łopatkę saperską oraz sztywny, metrowy kawał drutu do sondowania gruntu. Wreszcie ubrani możliwie lekko a ciepło, w kubraczki, kapotki i kurtki, wsiadają pewnego grudniowego ranka do pociągu odjeżdżającego do Terespoła.

Pociąg jest załadowany do ostatniego miejsca. Jest to jeden z pierwszych składów na uruchomionej dopiero od niedawna linii, więc ludzie oczekujący po kilka i kilkanaście godzin na jego podstawienie szturmowali każdy przedział bez pardonu, bo każdy chciał odjechać; kiedy będzie następna okazja - nikt nie był w stanie powiedzieć. Zaraz za lokomotywą było co prawda kilka luźnych pulmanów, ale tablica z napisem „Nur für Deutsche” oraz żołnierz z karabinem spacerujący przed drzwiami studziły zapędy chętnych do zajęcia tam miejsca.

Podróż do odległego o 200 km Terespoła trwa cały dzień. Pociąg wlecze się, zatrzymuje, stoi godzinami na stacyjkach, a stłoczony w wagonach tłum marznie. Wreszcie o dobrym już zmierzchu słychać zgrzyt hamulców i okrzyki konduktorów za oknami: „Terespol!” Pociąg staje. Kilkaset metrów dalej kończy się na Bugu i Generalna Gubernia, i niemieckie władanie.

Wysiadają na peronie ciemnym, bez światła. Za szumiącą wezbranymi wodami czarną rzeką - widać na niskim niebie odbite luną światła miasta. Tam jest Brześć.

Z wynajęciem podwozy nie ma kłopotu - do Kodnia nie jest przecież daleko, a 200 zł robi swoje, tym bardziej że według słów zaciągającego z podlaska woźnicy, Niemcy patrolujący granicę nie zwracają specjalnej uwagi na wczesną godzinę policyjną.

Pod stojącą przy rynku szkołę w Kodniu podjeżdżają prawie o północy. Kierownik jej jest w takim samym stopniu zaskoczony niespodziewaną wizytą, co ucieszony odwiedzinami brata. Wprowadzony w meritum sprawy stwierdza: •

- Dzisiaj się prześpicie, a w ciągu jutrzejszego dnia załatwię wam pewnego przewoźnika i pod wieczór połyniecie.

Przespali tę noc na słomie rozłożonej w jednej z izb lekcyjnych, ale ponieważ było ciepło i sucho, a te dwie rzeczy nauczyli się cenić już w pierwszym dniu tej ryzykownej wyprawy, spali snem kamiennym.

Rano z mieszkania nauczyciela obserwowali Bug, wielki, rozlany, czarny, który łagodnym lukiem toczył swe nurty niedaleko rynku. Po drugiej stronie błyszcząły szronową powłoką łąki; za nimi o ładnych kilkanaście kilometrów rozpoczynało się przedmieście Brześcia - Wołynka.

Cały dzień spędzili w zamkniętym mieszkaniu, aby nie wzbudzić podejrzeń niepotrzebnym kręceniem się w nadgranicznym miasteczku. Nad wieczorem zjawił się ubłocony, ale zadowolony, brat Falandysza.

- Załatwione! Wieczorem po ósmej, tutaj na łągu. Zaprowadzę was! Musicie mieć całą noc na dojscie do Brześcia, bo o świcie po tamtej stronie jest najgorzej. Chodzą liczne patrole i mają wzrok, że hej! „Bieżeńca” z tej strony Bugu wywęszą na sto metrów. A wtedy bez gadania do twierdzy. Stamtąd zaś Bóg jeden wie, gdzie byście pojechali. Musicie więc być w mieście przed świtem, wziąć jakąś kwaterę, najlepiej u Żydów na przedmieściu, zorientować się, kiedy idzie pociąg na Kowel i wysiąść najbliżej tego pięćdziesiątego kilometra. Iść zza rzeki pieszo w tamtym kierunku absolutnie nie radzę. Złapią was w pierwszej wsi. Co się tyczy powrotu, to sprawa trudna. Jeżeli • zdążycie załatwić wszystko w ciągu najbliższych dwóch dni, pamiętajcie, że przez dwie kolejne noce ten sam przewoźnik będzie was oczekiwał pomiędzy godziną drugą a trzecią w nocy po tej stronie, w szuwarach. Tu macie latarkę. Wystarczy błysnąć trzy razy krótkim światłem i popłynie do was. Gdybyście jednak nie mogli tego załatwić tak szybko, musicie sobie radzić sami. Wydaje mi się, że bezpieczniej dla was będzie próbować przejść na sucho, na Małkinię. A teraz trzeba zjeść coś gorącego.

Po sutej, gorącej kolacji gospodarz wyprowadził ich z ciemnej szkoły i opłótkami na zapleczu rynku, aby ominąć kwatrujących w dawnym posterunku policji Niemców, poprowadził ich do łągu. Od rzeki wiał ostry, mroźny wiatr, przenikający pod kurtki i ubrania.

Stan wody wezbranej jesiennymi opadami był bardzo wysoki.

W nadbrzeżnej wiklinie, szeleszczącej przy każdym podmuchu wiatru zeszlými liśćmi, z trudem dostrzegli czarną plamę łodzi. Przewoźnik przynagłał, bo chciał wrócić, jeszcze nim zakończy obchód patrol graniczny, który przed kilkoma minutami wyszedł z zajmowanego przez Niemców budynku.

Brat Falandysza zniknął im z oczu, zanim przewoźnik zdążył zagłębić wiosło w wodzie. Robił to powoli, starannie, prawie bezgłośnie, tak że plusk spadających kropel ginął zupełnie w szumie toczącej wielką falę rzeki. Czarne niebo musiało grubymi chmurami wisieć tuż nad ich głowami, bo choć był czas pełni, księżyc nie wypłynął ani na moment. Po kilkunastu minutach przód łodzi zaszurał o zeszlę łodygi sitowia. Przewoźnik wepchnął łódź głębiej i wskazał kierunek. Skakali w milczeniu w rzeczny muł, czując wodę bijącą falami po gumiakach na wysokości łydek.

Łódź zniknęła w ciemnościach, jak gdyby jej nigdy nie było. Kilkanaście metrów porośniętych szuwarami przebyli biegiem. Zetknięcie z twardym gruntem kazało im na chwilę zatrzymać się i nasłuchiwać. Gdzieś niedaleko poszczekiwał pies, od strony Brześcia co chwila pukał strzał, ale w najbliższej okolicy panował spokój. Wyszli więc na łąkę znaną już sobie z wczorajszych obserwacji z okna mieszkania nauczyciela. Nie bawili się w poszukiwanie ścieżek czy drózek, bo w ciemnościach i tak byłoby to bezowocne. Poszli prosto w kierunku miasta na przelaj przez łąkę. Marsz taki w noc bezksiężycową po łące podmokłej, ale pokrytej już warstwą lodu pękającego z trzaskiem pod nogami, a po chwili więżącego stopę w jakiejś wyrwie wypełnionej wodą, był rzeczą koszmarną. Posuwanie się naprzód w niepewności i napięciu, czy za następnym krokiem nie napotkają pustki, rowu czy miedzy i czy wtedy nie polecą na łeb, na szyję, bardziej działało na nerwy, niż powodowało zmęczenie. Przy tym głośnie szelest gumowych butów ocierających się przy każdym kroku o wysoką, zamarznąłą trawę, wywoływał wrażenie i obawę, że są słyszani o kilometry.

Szli godzinę, dwie, a łąki wydawały się nie mieć końca. Wreszcie grunt wyraźnie stwardniał pod nogami i znaleźli się u stóp nasypu, po którym - sądząc po świeście wiatru w drutach telefonicznych - biegła albo szosa albo tor kolejowy. Geblowa wysłana na zwiady wspięła się na koronę wału i zawołała półgłosem z góry:

- Szosa!

Teraz przeprowadzili krótką naradę. Na szosę postanowili nie wychodzić pod żadnym pozorem. Znany im był przecież od Dietricha sposób zastawiania zasadzek przez patrole milicyjne właśnie na takich zaciemnionych szosach. Wracać zaś na łąki również nie chcieli. Postanowili wybrać trzecie wyjście - marsz rowem u stóp nasypu.

Geblowa ruszyła przodem z zadaniem głośnego lamentowania w wypadku zatrzymania przez patrol, obaj mężczyźni szli kilkadziesiąt metrów dalej. Może nie było to zgodne z zasadami dżentelmeństwa, ale kobiecie nawet nocą w wypadku legitymowania groziło mniejsze niebezpieczeństwo niż mężczyznom.

Od chwili przekroczenia Bugu minęło na pewno ponad osiem godzin, gdy zmarznięci, przemoczeni, nie czując nóg, stwierdzili naraz, że nasyp staje się bardziej widoczny, a zza niego wspina się na niebo szara poświata.

- Świta, a my jeszcze w polu. Niedobrze.

- Ale oto i przedmieścia.

Weszli między pierwsze wyciszone nocą drewniane domki. Czarne szyby odbijały wstający dzień. Przyspieszyli kroku, bo perspektywa cieplej kwatery wydobyła z nich nowe siły.

- Stój!

Wezwanie było tak niespodziewane, że Geblowa aż krzyknęła.

Pod okapem drewnianego domku stało trzech w cywilnych kurtkach, z karabinami i czerwonymi opaskami na ramieniu. Na cywilnych czapkach błyszczały niezgrabnie wycięte z puszek konserwowych gwiazdy.

- Kto wy?

- Bieżeńcy.

- Bieżeńcy i idicie noczju? Nie znajecie, czto nie lzia?

- My tu mamy w Brześciu kwaterę. Wyszliśmy tylko wczoraj na wieś po żywność i tak wcześniej wracamy.

- Pogovorim potom. Dakumienty.

Cała trójka pokazała warszawskie legitymacje.

- Nu charaszo. Wiżu, czto wy roboczij kłas.

- Da.

- Nu ładno. Pojdiom w komisariat.

- My zdzieś żywiom niedaleko otsiuda.

- Niczewo, niczewo, pojdiom.

Na nic się zdała doskonała ruszczyzna Geblowej i Bańkowskiego. Cała trójka pod eskortą trzech uzbrojonych milicjantów pomaszzerowała do komisariatu.

W dwóch dużych, ciepłych, ale niezbyt czystych izbach siedziało ze dwudziestu takich jak oni. Niektórzy przytuleni do tobołów drzemali, inni rozmawiali gorączkowym szeptem, rzucając wkoło nerwowe, podejrzliwe spojrzenia. Wprowadzenie nowych towarzyszy niedoli wyraźnie ożywiło siedzących, ale po wyjściu milicjantów powracali oni przeważnie do poprzednich czynności.

Trójka przybyszów po zdjęciu gumiaków i ulokowaniu się w pobliżu * buchającego ciepłym pieca zaczęła wstępnie sondować nastroje. Postawione nieśmiało pytanie „czy długo nas tu potrzymają”, wywołało natychmiastową sprzeczkę.

Było już dobrze po dziewiątej, gdy wszystkich zatrzymanych wyprowadzono na podwórko i uformowawszy w dwójki poprowadzono pod strażą uzbrojonych cywilów.

Przemarsz przez miasto trwał dosyć długo, nim zobaczyli przed sobą szeregi i półkola regularnych niskich pagórków brzeskiej twierdzy otoczonych dokoła fosami.

Przez masywny most wjeżdżały i wyjeżdżały ciężarówki ze sprzętem, z wojskiem, a warty, już nie cywilne, lecz wojskowe, sprawdzały jakieś dokumenty i przepustki. Po przejściu mostu na pierwszym dziedzińcu kazano im skręcić w boczny zaułek, zgrzytnęła żelazna brama przed nimi, usłyszeli ten sam zgrzyt za sobą i poczuli się w pułapce.

Konwojenci prowadzili ich dalej przez mostki, wąskie przejścia, otwierali jedne drzwi, zamykali drugie i ciągle szli, szli, szli. Zatrzymani już dawno stracili orientację, czy idą na wschód, czy na zachód, aż wreszcie stanęli przed podłużnym budynkiem z czerwonej cegły, nakrytym półokrągłym pagórem ziemi i pożółklej darni.

- Znam ten pawilon z przedwojennych zdjęć w prasie. To więzienie twierdzy. Tu w czasie procesu brzeskiego siedzieli Witos i Liebermann - zdążył szeptem Falandyszowi Bańkowski, nim konwojent uciszył go gromkim:
- Mołczy, durak!

Oddzielono kobiety, a mężczyzn zaprowadzono korytarzem na piętro, gdzie otwarto drzwi jednej z cel. Do kilkudziesięciu już siedzących tam ludzi dołączono jeszcze kilkunastu. W takich warunkach znajomości zawiera się dosyć łatwo. Po godzinie nowo przybyli wiedzieli już, że więzienie jest przepełnione, że niektórzy siedzą tu od tygodnia, że nowi już się nie mieszczą w celach. Straż wyprowadza wszystkich na dziedziniec i pyta, kto chce do Polski - to niech przejdzie na lewo, a kto do Rosji - na prawo.

- No, to doskonale - pociesza się głośno Bańkowski - staniemy w grupie do Polski i spokój.
- A zadanie? - zgłasza szeptem sprzeciw Falandysz.
- O to się będziemy później martwić - uspokaja go również szeptem towarzysz.
- Ale to nie takie proste - kontynuuje dalej jeden z tych, którzy siedzą tutaj od kilku dni.

Perspektywa całkiem niewesoła. Tak czy tak, przy największym nawet szczęściu, pozostanie w Brześciu i wykonanie podjętego zadania wydaje się sprawą niemożliwą. W obecnej jednak sytuacji traci ona na ważności, gdyż rzeczą zasadniczą staje się wydostanie stąd i szczęśliwy powrót za Bug.

Po południu zgrzytnęły w zamku klucze i kazano wszystkim wychodzić przed budynek. Na fortocznym dziedzińcu stał milczący, zwarty, tysiącosobowy tłum. Przed jednym z fortów nad rozpalonymi ogniskami, na żelaznych prętach skwierczały wędzone, podgrzewane w ten sposób ryby.

- Towariszczu, iditie kuszat' - zachęcali żołnierze-kucharze obracając ryby długimi pogrzebaczami, ale amatorów na obgryzanie wyschniętych na wiór ryb nie było wielu.

Naraz przez tłum przeszedł szmer i wszyscy głowy zwrócili tam, gdzie przed budynkiem na skrzynce stał oficer z zielonym otokiem na czapce.

- Towarzystwi bieżęcy. Chcemy wam ułatwić połączenie się z waszymi bliskimi. Kto chce jechać na drugą stronę Bugu, do Polski - „w Polszu”, zanotował w myśli z satysfakcją Bańkowski oficerskie słowa - niech przejdzie na lewą stronę dziedzińca. Kto chce zostać tutaj, w Sojuszu, dostać pracę, opiekę państwa na miejscu lub pojechać, dokąd będzie chciał, do rodziny, niech przejdzie na prawo.

W jednej chwili prysnął spokój i cisza. Nad dziedzińcem buchnął gwar, nawoływania, ludzie zaczęli biegać z lewej strony na prawą, i z prawej na lewą. Ci, którym wydawało się, że już wybrali jedną ze stron, naraz dowiadywali się z szeptów sąsiadów, że dzisiaj podobno ma być właśnie odwrotnie, że ci, co wybrali „polską stronę”, pojedą w „Sojuz”, a ci, co chcą zostać w Związku Radzieckim, znaleźć się mogą w pociągu jadącym za Bug - do Terespoła.

Pod wpływem tych wieści ludzie zmieniają kilkakrotnie miejsce, biegną z lewej strony na prawą i odwrotnie, powiększając bałagan i rozgardiasz.

Bańkowski i Falandysz rozglądali się pilnie, wyszukując wśród rozgorączkowanego tłumu twarzy Geblowej. Dostrzegli ją tak samo wyciągającą szyję i kiedy już byli razem, zaczęli się zastanawiać, która dzisiaj strona prowadzi do Polski - lewa czy prawa. Ich niezdecydowanie zwróciło widać uwagę żołnierza w wybrudzonej szyneli przypatrującego się tej bieżęcinie, bo podszedł do nich proponując:

- Ja was nie powiezu ni w Polszu, ni w Sojuz, tolko w gorod, w Brest. Chotitie? Nu, pojdiom.

Musiało być coś szczerego w propozycjach żołnierza, bo przystali na nie bez chwili zastanowienia. Zaraz też ich oraz kilku przypadkowych bieżęców, którzy stali bliżej i słyszeli słowa szofera, poprowadził zakamarkami między długimi rzędami budynków z górami zieleni zamiast dachów. Wyszli wreszcie na plac tłusty od smarów rozlanych obficie i mieniący się kolorami tęczy, i tu ich przewodnik otworzył klapę jednej spośród kilkunastu stojących ciężarówek zapraszając:

- Sadities!

Wspięli się raźnie, pomagając sobie wzajemnie, wciągając się za ręce i podsadzając. Silnik chrząknął, zaskoczył, samochód zatoczył koło i popędził do głównej bramy. Tu wartownik po usłyszeniu jakichś słów wyjaśnienia od szofera kiwnął ręką, żelazne wrota zgrzytnęły i ciężarówka przemknęła przez uchylone skrzydło.

Twierdza była za nimi. Szofer dodał gazu i po kilkunastu minutach kawalerskiej jazdy zatrzymał wóz na jednej z ulic miasta.

- Nu i wsio. Wy swobodny.

Nim zeskoczyli i zdążyli mu podziękować, zgrzytnął biegami i zniknął w błękitnawym tumanie spalin. Zostali sami, kilkunastu ludzi w obcym mieście, wśród zapadającego zmroku. Rozeszli się szybko, by nie zwracać na siebie uwagi. Geblowa, Bańkowski i Falandysz skręcili w pierwszą lepszą uliczkę i zapukali na chybił trafił w drzwi małego drewnianego domu.

- Czy można tu wynająć kwaterę na kilka dni? - zapytali Żyda w j armu- ce pochylonego nad wyprawianą właśnie skórą.
- Czemu nie? Państwo Polacy, z tamtej strony? Pokój może być.

Tak więc w zasmrodzonym fetorem garbowanych skór domku znaleźli suchy i ciepły pokój. Wreszcie można było zdjąć przemoknięte od ubiegłej nocy ubrania i pomyśleć o śnie.

- I co dalej? Powrót do domu czy zadanie? - zapytał Bańkowski.
- Zadanie! Zadanie! - odparła Geblowa, a zawtórował jej Falandysz.

Wobec tego rzeczą najważniejszą było w tej chwili zorientować się, kiedy odchodzi najbliższy pociąg w kierunku Kowla. Odpoczęli więc nieco, zjedli coś ugotowanego naprędce w małej kuchence i Geblowa z Falandyszem, udając flirtującą parę, poszli na dworzec.

Tłok panował tu okropny. Ludzie z tobołkami i walizkami, masy wojska, patrole przegarniające tłum, legitymujące ludzi stwarzały widok jedyny i niepowtarzalny. Po wielu pytaniach, na które przeważnie słyszeli odpowiedź „nie znaju”, dowiedzieli się wreszcie od polskich kolejarzy, że pociąg do Kowla odchodzi przed świtem - kilka minut po piątej. Szybko wrócili więc na kwaterę, aby skorzystać jeszcze z kilku godzin snu.

Choć na dworcu zjawili się na pół godziny przed zapowiadaną godziną odjazdu, pociąg był już zapelniony do granic możliwości. Musieli użyć wielu forteli i niemało wysiłków, aby gdzieś na zapchanym korytarzu znaleźć miejsce dla siebie.

Minęło pół godziny, godzina i jeszcze następna godzina, a pociąg ciągle stał. Dopiero gdy zrobiło się zupełnie widno, wtedy, jakby bojąc się dotąd ciemności, ruszył. Rozkład jazdy widać nie obowiązywał tu jeszcze, bo pociąg szedł w tempie spacerowym. Małorytę, gdzie odstał pół godziny, minęli dopiero po godz. 10, most na Prypeci odstukał na spojeniach szyn grubo po 11, a na małej stacyjce, miejscu ich przeznaczenia, zatrzymał się w samo południe.-

Wiedzieli jeszcze z mapy studiowanej w Warszawie, że od szosy brzesko- kowelskiej dzieli ich prawie 7 kilometrów, które trzeba przejść wiejską, pełną wertepów drogą. Poszli więc prosto pod wiatr zacinający od wschodu zmarzniętą krupą. Szli jak najszybciej, broniąc się w ten sposób przed chłodem; chcieli - o ile tylko możliwe - załatwić tę sprawę dzisiaj, by na noc, ostatnią noc, w czasie której czekał przewoźnik, dotrzeć nad Bug.

Po przeszło godzinnym marszu zobaczyli w dali wstęgę szosy. Poczuli wzrastającą emocję.

Najbliższe chwile miały ich przekonać, czy podjęty wysiłek, przygody i niebezpieczeństwa, na które się narazili, były potrzebne i czy zakończą się sukcesem, czy rozczarowaniem.

Jest wreszcie szosa. Najbliższy kilometrowy słup ma od strony Brześcia wymalowaną cyfrę 48. Trzeba więc przemaszerować dodatkowo jeszcze dwa kilometry. Ale taki spacer po gładkiej szosie odbywa się bardzo szybko. Widzą ten swój pięćdziesiąty kilometrowy słup już z bardzo daleka, jak też i ścieżkę odbiegającą od niego w lewo. Wreszcie jest słup.

Wszyscy jak na komendę dotykają zimnego, mokrego kamienia - na szczęście.

Ścieżka odbiegająca od szosy jest zarośnięta sztywną od mrozu, rudą trawą. Choć drzewo stojące wśród zagonów zmierzwionego, skotłowanego wiatrami i deszczami zboża widać już z daleka, skrupulatnie odmierzają nakazane 200 kroków.

Tutaj ścieżka krzyżuje się z miedzą. Skręcając w lewo. Stoi tam samotne, jedyne w tej okolicy drzewo. Na korze, na wysokości oczu, szeroka brunatna strzałka wskazuje prosto zagon żyta.

- Teraz 20 kroków, tam - mówi Bańkowski.
- Ktoś nam się przygląda z szosy - ostrzega Geblowa.

Rzeczywiście przy kilometrowym słupie stoi jakiś mężczyzna z psem i patrzy w ich kierunku. Gdy jednak przechodzą niby obojętnie obok drzewa, idąc gdzieś dalej, mężczyzna na szosie przerywa obserwację i rusza w kierunku Kowla. Przypadają więc nisko do ziemi i zakryci zbożem, przygarbieni, powracają pod drzewo.

- Roboty tutaj dla nas trojga nie będzie - stwierdza Bańkowski. - Może ja będę szukał, a pani z kolegą Falandyszem będziecie mnie ubezpieczać od strony drogi i ścieżki.

Rozchodzą się więc przygięci do ziemi i przysiadają o kilkadziesiąt metrów od drzewa. Widzą, jak schylony Bańkowski odmierza nakazane 20 kroków i ginie w zagonie.

Falandysz siedzi na podkurczonych nogach, ze stopami oblanymi kałużą zimnej wody; mija 15 minut, pół godziny, czuje wzrastającą drętwość nóg, tak jakby mrówki biegały pod kolanami, unosi się lekko, chcąc rozprostować kości, ale wtedy widać go z szosy jak na dłoni. Na domiar złego zaczyna padać drobny, ale dokuczliwy, bo pędzony wiatrem kapuśniaczek.

Szelest w zbożu, w którym pracuje Bańkowski, słychać aż tutaj. Czy odnalazł? Czy tu jest na pewno to miejsce?

Po godzinie rozsuwa się zboże i wychodzi mokry, ubłocony kolega. Prawie na czworakach dobija do Falandysza.

- No? - pyta ten niecierpliwie.
- Udało się. Znalazłem. Bez drutu nie dałbym rady. Wyczułem spulchnioną ziemię. Ale czy się to na co przyda, nie wiem. To jest jedno mokre błoto. Wziąłem jedną trzecią, niech pan teraz idzie po swoją część, a potem po resztę pošlemy panią Zofię.

Falandysz schylony biegnie w zagon. 20 kroków od miedzy widzi głęboki dół i rozrzuconą dokoła czarną, błotnistą maź. Na jednej z przyzmy leży ściemniały od wody, oślizgły worek. Niecierpliwie go podnosi.

Zbrązowiałe od brudnej wody leżą w paczkach banknoty 50- i 100-złotowe, równo poukładane, spęczniałe od wilgoci. Jest ich dużo - pięć, osiem, dwanaście, dwadzieścia paczek. Falandysz bierze jedną, jest ciężka i cieknie z niej woda. Zmarzniętymi, czerwonymi od zimna i mokrymi od deszczu rękoma, kasjerskim zwyczajem, podgina jeden z banknotów i ten rozłazi mu się dosłownie pod palcami. Tak, to jest naprawdę nieprzydatne błoto. Tyle wysiłku, tyle niebezpieczeństwa i znalezisko okazuje się bezwartościową, papierową mierzwą. Ale mimo wszystko trzeba to wziąć i zawieźć do Warszawy, aby tam zobaczono, że zleczone im zadanie wykonali. Ostrożnie więc zgarnia przypadającą mu część paczek, ścisza je mocno, aby ociekły z wody i zawija w przygotowane szmaty. Wszystko to pakuje do plecaka, starannie przykrywa część pozostawioną dla Geblowej i szybko dołącza do Bańkowskiego.

Siedzą teraz markotni i małowówni, ćmiąc papierosy i czekając, aż Geblowa upora się z zapakowaniem swojej części. Wreszcie i ona z szelestem wychodzi ze zboża.

- Co, nie za ciekawie to wygląda? - mówi jakby nieco przygnębiona. - Dwieście tysięcy. Cholera! Taki majątek zniszczony, gdy tu tyle biedy i nędzy. Idziemy do pociągu?
- Trzeba.

Maszerują w milczeniu wśród wzmagającego się deszczu. Już dawno przecięli szosę i wyciągając nogi starają się dojść do stacyjki, zanim zapadnie zmierzch.

Jest już jednak całkiem ciemno, gdy przemoczeni i zmarznięci dobijają do stacji. Pusto tu, smutno i zimno, bo okna są powybijane i wiatr bez przeszkód sieje kroplami deszczu. Dyżurny przez małe okienko informuje, że pociąg do Brześcia odszedł godzinę temu, a następny będzie może koło północy, a może później.

W małej poczekalni nie ma krzesła ani ławki, siadają więc pod ścianą na podłodze, by choć taki odpoczynek zapewnić zmęczonym nogom. Powoli zapadają w półsen. Plecaki uwierają, nie dając się oprzeć swobodnie o ścianę, ale nie można ich zdjąć, bo trzeba pilnować jak oka w głowie.

Poprzez szmer zacinającego deszczu dochodzi do nich z zewnątrz szurgot kilku par butów po żwirze. W prześwicie drzwi staje kilka postaci z karabinami, błysk latarki razi odwykłe od światła źrenice.

- Wy kto?
- Bieżeńcy. Czekamy na pociąg do Brześcia.
- Skąd jedziecie?
- Przyjechaliśmy tu rannym pociągiem, aby kupić trochę żywności. Nasze dzieci tam głodne, chcą jeść.
- Papiery macie w porządku?

Bańkowski sięga do kieszeni, ale ten, który wydaje się być przywódcą patrolu, mówi:

- Nie nada. Tylko nie włóczcie się nigdzie, siedźcie tutaj, aż przyjedzie pociąg.

Wychodzą i pochłania ich noc. Trójka pod ścianą siedzi, czując, jak opada napięcie nerwowe i znów ogarnia ich senność. Jeden Bańkowski ćmi papierosa, jakoś dłużej przeżywając to spotkanie.

- Mam mokry kompres na plecach. To przemoczyło plecak i teraz leży mi zimnym plackiem w okolicach krzyżowej - mruczy do Falandysza.
- Ja też - potwierdza ten.
- A co ja mam mówić? - pyta gorzko Geblowa.

Teraz dopiero obaj mężczyźni zainteresowali się tym, że Geblowa nie wzięła z Brześcia swego plecaka, nie ma żadnej torby, gdzie więc ukryła swoją część pieniędzy?

- Ja mam okład na brzuchu, plecach, biodrach, gdzie chcecie - mówi żałośnie. - Myślałam, że to będzie suche i przygotowałam sobie taki pas z przegródkami. No i masz ci los.

Znów zapada beznadziejne milczenie. Minuty ciekną długo jak godziny, wokoło pustka i cisza, tylko za ścianą lekko pochrapuje dyżurny, a na dworze deszcz zmienia się w pędzone wiatrem płatki śniegu.

Wreszcie tuż przed północą w kilkuminutowych odstępach zjawiają się w poczekalni dwie zawinięte w chusty babiny i kilku mężczyzn udających w mało przekonujący sposób chłopów. Wszyscy klną na zimno i wszędobylskie milicyjne patrole.

Terkot dzwonka za ścianą przerywa chrapanie i wywołuje ruch wśród oczekujących. Po chwili dyżurny wali kulakiem w szybkę kasowego okienka i mamroce:

- Pojezd idiot. W Brest.

Skądś spośród zamieci dolatuje słaby, jeszcze daleki gwizd lokomotywy. Trzeba wstać z brudnego, ale już przytulnego kąta i rozprostować skurczone nogi i kręgosłup. Mokra plama na plecach ziębi teraz podwójnie.

Pociąg wtacza się na stacyjkę szczękając buforami. Próby otwarcia drzwi do któregośkolwiek przedziału spelzają na niczym, gdyż od wewnątrz pasażerowie trzymają klamki i widać tylko rozmazane za szybami blade, upiorne twarze. Już od Kowla kilkunastu mężczyzn wisi na oblodzonych stopniach; w tej chwili wykorzystują chwilowy postój, aby zeskoczyć, zabić kilka razy zgrabiałymi rękami o boki i ucześcić się z powrotem klamek i uchwytów.

Nie ma więc innego wyjścia, jak tylko pójść w ich ślady.

Po pół godzinie takiej jazdy pierwsza Geblowa, przekrzykując świst wiatru, krzyczy Bańkowskiemu w ucho:

- Już nie czuję rąk. Za chwilę puszcze klamkę.
- Pani Zofio! Jeszcze trochę! Jak tylko stanie, wepchniemy się siłą do wagonu. Jeszcze trochę - krzyczy do niej Bańkowski, ochraniając ją na wszelki wypadek ramieniem.

Gdy tylko pociąg staje, obaj mężczyźni wyrywają dosłownie drzwi z rąk przytrzymujących je od wewnątrz i wpychają w tłum najpierw niewiastę, a potem wspierając się wzajemnie ramionami i pracując ostro łokciami, wwiercają się do przedziału, nie bacząc na krzyki i ordynarne przewiska, których im wewnątrz nie szczędzi. Po chwili jednak już i oni trzymają klamkę starając się uniemożliwić wdarcie się następnych reflektantów: „Boże, jak straszna jest mentalność człowieka, którego jeden krok ze stopnia do przedziału zamienia z istoty ludzkiej w zwierzę” - myśli Bańkowski.

Jazda w zaduchu i ciągle wybuchające spory trwają już kilka godzin. Ktoś, o kogo Bańkowski opiera mokry, ociekający wodą plecak, robi awanturę, szarpie za rękaw kurtki, ale oni są tak zmęczeni, że nie reagują. Wreszcie nad ranem ruch między pasażerami jest zapowiedzią zbliżania się do stacji końcowej.

Na świecie trwa silna zamieć. Aż deszcz przechodzi na samą myśl, że trzeba opuścić zapchany, ale ciepły od zgniecionego tłumu i suchy wagon i biec kilkanaście minut wśród tej wichury do kwatery u starego garbarza. Za to tam czeka również ciepły i suchy pokój. Można się będzie wreszcie pozbyć tych paczek, które ziębia i uwierają jak kawały lodu, i zasnąć.

Podnieceni tą myślą biegną wśród pustych uliczek, ślizgając się co chwila na płatach mokrego, topniejącego w zetknięciu z ziemią śniegu.

Wreszcie jest mały domek, który jeszcze przedwczoraj wydawał się brudny i niechlujny, dziś zaś biegną do niego jak do miejsca najbardziej wytęsknionego.

Stary Żyd stoi nad rozciągniętą na deskach śmierdzącą skórą, tak jak go zostawili wychodząc wczoraj w nocy. Wita ich bez zdziwienia, z przychylnym, współczującym uśmiechem:

- Aj, aj, jakie państwo zmęczone. Czy państwo dostało jakąś żywność?

- Trochę cienkiej słoniny - mamroce Falandysz, choć zdaje mu się, że na

nic nie ma siły, ale Żyd jest tak przejęty ich widokiem, że nie mają sumienia pozostawić tego pytania bez odpowiedzi.

- Aj, aj, jak ten naród się męczy, jak się męczy. Proszę zaraz iść do pokoju. Tam ciepło, ja sam napaliłem.

W pokoju jest rzeczywiście ciepło i przytulnie. Zrzucają plecaki i przemoczone kurtki, już leżąc na siennikach zzuwają gumki, i spać, jak najszybciej spać.

Gebłowa musi jednak zdjąć z siebie prawie wszystko, aby dostać się do misternego pasa z przegródkami. Chwilę leży na sienniku przykrytym brudnym prześcieradłem, ale zmęczenie jest widać tak wielkie, że sen nie przychodzi. Za to budzi się przytępienie dotąd poczucie obowiązku. Zwleka się więc stękając z posłania, zakrywa prześcieradłem okno i, zapaliwszy ogarek świecy, zaczyna wyjmować paczki banknotów z przegródek pasa.

- Wiecie, że jak to obciekło, jak woda wsiąkła we mnie, to jest jakoś bardziej podobne do pieniędzy. Daje się dzielić na części.

Mężczyzn ogarnia wstyd, że oni leżą bez sił, a kobieta, na pewno bardziej od nich zmordowana, potrafiła wykrzesać z siebie tyle energii, aby zajrzeć do powierzonej jej opiece części fortuny. Rozwiązują więc i oni swoje plecaki i wyciągają zawinięte w szmaty pieniądze. Rzeczywiście są nieco suchsze, choć woda je zlepiła w jedną wielką cegłę.

Gebłowa tymczasem wyciąga z kąta pokoju stare numery „Światowida”, rozkłada je na podłodze, na stole, na szafce i na te płachty papieru układa rozdzielone z paczek banknoty po kilka i kilkanaście.

Robi to delikatnie, ostrożnie, bo przy każdym raptowniejszym ruchu papier bezgłośnie rozłazi się pod palcami. Po chwili pracują całą trójką i upłynie dobre pół godziny nim uspokojeni zaciszem i ukojeni ciepłem, zasną na zsuniętych w kąt pokoju siennikach, otoczeni suszącymi się dokoła setkami tysięcy złotych.

Spali snem kamiennym przez cały dzień i prawie następną całą noc. Chociaż zrobiło się chłodniej w pokoju i Żyd przez zamknięte drzwi domagał się, by otworzyli, gdyż chce napalić, brakło im woli, by wstać, zebrać i ukryć pieniądze. Odkrzyknęli więc tylko, że nie jest im zimno i zaraz zasypiali ponownie, słysząc w półśnie pod drzwiami:

- Uj, jak ten naród się męczy.

Za to o świcie następnego dnia obudził ich przejmujący głód. Wstali prawie równocześnie, nie mogąc w to uwierzyć, że po tym wszystkim nie zmogło ich żadne choróbko i że Gebłowa nawet nie dostała kataru.

W trakcie skromnego posiłku odstąpionego przez ciągle garbującego swe skóry Żyda, który chyba nigdy nie sypiał, przyszedł czas zastanowić się, co dalej.

Teraz zdani byli wyłącznie na własne siły, bo przewoźnik z Kodnia nie wchodził już w rachubę. Gdzie więc mieli teraz pójść? Gdzie szukać słabych ogniw w szczelnie strzeżonej granicy?

Żyd był jednak ciągle na miejscu i miał chyba szósty zmysł. Gdy Geblowa odnosiła do kuchni talerze po kaszy, zagadnął ją jakby z zażenowaniem:

- Czy pani by się nie pogniewała, gdybym coś powiedział? Ja państwa nie ponaglam, ale tak mi się wydaje, że wy ciągle patrzycie na tamtą stronę rzeki. Nie, ja nie pytam przecież, to mnie nie obchodzi - ubiegł jej gest protestu. - Ja to wiem. Ale jeśli dobrze wiem, to powiem tylko jedno, nie na rzekę. Woda duża, bez przewoźnika nie da rady. A przewoźników nie ma. Jest jedno przejście, na suchy ląd, na Małkinię.
-
- Niech pani to powie panom. Ja przepraszam, to nie są moje sprawy, ale ja tak z dobrego serca, bo nie mogę patrzeć, jak się naród marnuje - powrócił znów do nacierania solą rozciągniętej skóry.

Obaj mężczyźni zastanowili się nad radą Żyda. Była ona zgodna z tym, co radził przecież brat Falandysza - jeśli samym, to wracać tylko na Małkinię.

Było już późno i Geblowa poszła na dworzec dowiedzieć się, kiedy odchodzi pociąg w kierunku na Zaręby Kościelne. Wróciła z wiadomością, że zgodnie z tym, co mówią polscy kolejarze, najbliższy będzie koło czwartej po południu.

Podsuszili jeszcze wilgotne banknoty, poskładali je, powyginane i spęczniałe, w paczki i pożegnali Żyda. Uśmiechał się smutno i życzył szczęśliwej drogi, a 100-złotowy banknot, którym mu chcieli zapłacić za noclegi, odsunął mówiąc:

- Mnie na kawałek chleba starczy z tych skór. Dajcie to komuś z tych, którzy mają jeszcze mniej niż ja.

Było już zupełnie ciemno, gdy dojechali do Zaręb. Na stacji wymiecionej z ludzi zostali sami, nie wiedząc nawet, w którym kierunku najbliższej do granicy. Nie mieli innego wyjścia, jak wziąć w którejś z najbliższych chat kwaterę i tam próbować szczęścia. Widocznie nie byli pierwszymi gośćmi w zabudowaniach, bo kiedy zapukali, gospodyni przyjęła ich chętnie, posadziła w kuchni przy stole, dała każdemu łyżkę, w jedną dużą miskę naląła gorącego żuru, na drugą nałożyła kopiasto kartofli i życząc dobrego apetytu, powiedziała niby mimochodem:

- Wy też na pewno tylko po żywność? Ciężko tu o nią. Łatwiej tam, za granicą. U nas za to łatwo o przewodnika. Ale już dzisiaj za późno. Dopiero jutro, nocą można przejść.

Zbyt dobrze jej z oczu patrzyło, by mogli to poczytać za próbę prowokacji. Zjedli więc i uspokojeni ułożyli się do snu na rozłożonych na podłodze snopkach słomy.

Rano zastukał do izby chłop, który wypełnił sobą całe niemałe przeciw drzwi.

- Pochwalony! Państwo po żywność na tamtą stronę, mówiła mi stara. Podprowadzę was tam, bo mi to po drodze, ale dopiero wieczorem, żebyście nie zaszli tam, gdzie nie trza. A teraz śpijta.

Ale gdzie im tam teraz było do spania! Musieli jednak siedzieć w pokoju, bo tak przykazała gospodyni - i tutaj bowiem w nadgranicznej wsi poza strażą graniczną myszkowali wszędzie cywilni milicjanci.

O ósmej wyszli wyprowadzeni przez chłopą, który widocznie nie ich pierwszych wiódł ku granicy. Nie miał zegarka, wątpliwe, czy go kiedykolwiek widział, ale musiał mieć swoje normy czasu, bo wiedział, kiedy przysiąść w krzakach:

- Zarożki póndzie patruła.

I rzeczywiście po kilku minutach doszedł do nich odgłos kroków w rozciapkanym blocku. Zaraz potem ruszyli i wkrótce stanęli nad pasem zabronowanej ziemi.

- Tu niby granica. Ale patruła już na zadku. Uważajcie ino na Mimców, bo bardzo rozżarte.

Pożegnał ich znakiem krzyża kreślonym prawicą, podczas gdy lewica błyskawicznie chowała w zakamarkach zabłoconego ubrania 500-złotowy banknot.

Szli przez zabronowany pas kilka minut, nim gdzieś z boku nie palnęła seria, wyzwalając natychmiast ujadanie psów i okrzyki:

- Halt, halt!

Rzucili się na ziemię płasciutko i sporo czasu minęło nim zorientowali się, że to nie do nich, że krzyki i szczekanie psów oddalają się, że czyjś brak szczęścia jest szczęściem dla nich.

To czołgając się, to biegnąc dotarli do brzegu lasu i szli jego lizjerą kilka kilometrów, nim trafili na wiejską drogę. Drogowskaz na niedalekim skrzyżowaniu pozwolił im odczytać mimo nocy „Małkinia 6 km”. Było za wcześnie na radość, gdyż do miasteczka musieli przejść nocą kilka kilometrów, w czasie godziny policyjnej, wystrzegając się gęsto patrolujących grup Grenzschtzu. Już na ulicach Małkini dwukrotnie o mało nie nadziali się na niemieckie patrole. Była chyba druga godzina po północy, gdy wmieszali się w tłumek ludzi stłoczonych na małej stacyjce.

Po godzinie siedzieli już w pociągu jadącym do Warszawy. Wprost z dworca, już o białym dniu, pojechali riksą w Aleje Niepodległości, do mieszkania dyr. Drojanowskiego.

Gdy obudzony natarczywym dzwonkiem otworzył drzwi, na ich widok cofnął się, wołając:

- Na miłość boską, jak wy wyglądacie!

Było jednak w ich Wymizerowanych twarzach coś, co kazało mu zapraszać do wnętrza i pytać z nadzieją:

- Z tarczą czy na tarczy?
- Z tarczą, ale trochę wyszczerbioną - odparł Bańkowski za całą trójkę.

Wyrzucili na stół zawartość plecaków. Choć stan banknotów był teraz o całe niebo lepszy niż parę dni temu, tam, na zadeszczonym polu, dyrektor długo pocierał z zafrasowaniem brodę. Ucisnął mocno dłoń każdego z nich, bo zadanie zostało przecież mimo tylu przeszkód wykonane.

- Reszta należy do mnie, choć co zrobić, na razie jeszcze nie wiem. Coś jednak chyba wymyślę. A teraz opowiadajcie.

Relacjonowanie całego przebiegu prawie tygodniowej wyprawy trwało chyba ze dwie godziny. Gdy wyszli i rozstawali się na rogu ulicy, Geblowa poza sakramentalnym „do widzenia” powiedziała jeszcze:
- Spokojnych świąt, panie dyrektorze.

Była to bowiem Wilia Bożego Narodzenia.

Pierwsze okupacyjne święta stały się dla milionów rodzin i domów polskich okazją do chwili zadumy i skierowania myśli oraz życzeń do obozów jenieckich na zachodzie i na wschodzie, do więzień i obozów koncentracyjnych, gdzie już zdążono wywieźć pierwsze grupy aresztowanych, do dalekiej Francji, na Węgry i do Rumunii. Setki tysięcy wdów i sierot nie miały gdzie kierować swych życzeń, pozostało im tylko opłakiwanie poległych. Nikt w te dni nie życzył przyjaciółom tradycyjnych świąt wesołych. Brzmiałoby to bowiem jak naigrawanie się z losu.

Święta spokojne były życzeniem wszystkich. Były to życzenia jak najbardziej aktualne i szczerze, bo okupant zadbał o to, aby zbyt spokojnie nad Wisłą nie było. W nocy z 26' 27 grudnia wywleczono w podwarszawskim Wawrze w ciągu nocy 107 mężczyzn i postawiono pod lufy plutonu egzekucyjnego.

Oba dni tych niewesołych świąt spędził Drojanowski na paleniu w piecu w największym pokoju, czym się dało - starymi deskami i miałem znalezionym w rogu piwnicy, aby było ciepło przede wszystkim butwiejącym papierom, a potem dopiero ludziom. Przez całe dwa dni z pomocą najbliższych rozkładał i przekładał w tym jedynym ciepłym pokoju tysiące banknotów, aby wypędzić z nich jeszcze trochę wilgoci, aby stały się możliwie podobne do obiegowego środka płatniczego.

Zaraz po świętach, 27 grudnia, wzięwszy ze sobą tylko kilka najlepiej zachowanych banknotów, udał się na róg Traugutta i Czackiego do gmachu Komunalnej Kasy Oszczędności m. st. Warszawy. Tu w gabinecie swego znajomego, naczelnego dyrektora KKO, Mikołaja Dolanowskiego, przedstawił dzieje starań o odzyskanie zakopanych pieniędzy oraz wyraził obawę, czy w tym stanie w jakim je przywieziono, będzie można jakoś je zużytkować. Mógł być zupełnie szczerzy, bo jeszcze kilka miesięcy temu jako Prezes Komisji Oddłużania Komunalnych Kas Oszczędności w Polsce był tu częstym gościem i z dyr. Dolanowskim łączyły go więzy szczerzej przyjaźni.

Dolanowski długo obracał w palcach banknoty, wreszcie powiedział:

- Przynieś mi to wszystko jutro. Zobaczę, jak tam ze znakami i numerami; i przyjdź zaraz po Nowym Roku.

Oczekiwanie na pierwsze dni stycznia nie było dla Drojanowskiego sprawą łatwą. Nic więc dziwnego, że 2 stycznia zjawił się w poczekalni KKO, nim jeszcze naczelnny dyrektor rozpoczął urzędowanie. Ten przyjął go wiadomością wywołującą radosne podniecenie:

- Idź zaraz do kasy. Czeka tam na ciebie nowiutkich dwieście tysięcy złotych.

Po kwadransie, opuszczając w radosnym nastroju gmach Kasy, wynosił Drojanowski w skromnej teczce nieskalane jeszcze ludzką ręką nowiutkie banknoty, w paczkach po 100 sztuk oklejonych banderolami.

Teczka była ta sama, którą nosił codziennie, a mimo to miał nieprzeparowane wrażenie, że co drugi Niemiec na ulicy przygląda mu się ciekawie, a nawet nie tyle ciekawie, co podejrzliwie.

Spacer od Traugutta w Aleje Niepodległości był półgodziną próbą nerwów. Zaraz po powrocie, nie bardzo jeszcze odtajawszy po 20-stopniowym mrozie, Drojanowski zadzwonił do Izby i zaprosił do siebie sztab akcji.

Teraz, w pierwszych dniach 1940 r., mogli dokonać podsumowania zasobów finansowych, czyli tego, co później nazwą funduszem tajnej akcji społecznej.

Największą pozycją była tu bezsprzecznie tak szczęśliwie odnaleziona, przywieziona i wymieniona kwota 200 tysięcy złotych. Lecz nie tylko ona składała się na fundusz. W czasie bowiem gdy Bańkowski z Gebłową i Falandyszem szukali pieniędzy na kowelskiej szosie, ich koledzy w Warszawie również nie próżnowali.

Naczelnik Burgraf, przeglądając szczegółowo każdy zakamarek nie dość dokładnie obrabowanego przez Niemców skarbcza, znalazł w jednym ze schowków 62 tysiące złotych z walorów pochodzących sprzed wojny. Nie były one uwidocznione w spisie, sporządzonym w chwili przejścia przez Niemców urzędu, zostały więc zgłoszone dyr. Drojanowskiemu, który polecił je zatrzymać do dalszej dyspozycji.

W połowie grudnia zjawił się na Lindleya kolejny delegat ewakuacyjny Ministerstwa Skarbu i tak jak Dietrich przekazał Drojanowskiemu posiadany fundusz, którym się dotąd opiekował, co prawda w kwocie o wiele niższej, bo tylko 10 tysięcy złotych, ale w gotówce i bez potrzeby podejmowania ryzykownych wypraw.

I wreszcie w ostatnich dniach grudnia 1939 r. I, II i III Urzędy Skarbowe w porozumieniu z dyr. Drojanowskim podjęły samodzielną akcję ściągnięcia należnych kwot od kilkuset zalegających z podatkami poważniejszych dłużników. Były tu przede wszystkim podwarszawskie fabryki przejęte teraz przez Niemców, wśród których największą były zakłady Spiessa w Tarchominie. Ta jednorazowa akcja, której wpływy naturalnie nie znalazły się w niemieckiej kasie, dała 30 tysięcy złotych.

Tak więc w sumie w pierwszych dniach stycznia 1940 r. dysponowano znaczną jeszcze jak na owe czasy, mimo codziennie postępującej dewaluacji złotego, sumą około 300 tysięcy złotych.

Byli zgodni co do jednego - że pieniądze te muszą służyć ludziom potrzebującym, będącym w straszliwej nędzy. Początkowy plan objęcia tą pomocą przede wszystkim najbliższego grona skarbowców odrzucili, pieniędzy było bowiem dostatecznie dużo, aby rozszerzyć krąg pomocy, były to pieniądze społeczne, a więc prawo do korzystania z nich przysługiwało o wiele szerszemu kręgowi osób.

Jednak sprawa zorganizowania odpowiedniej siatki utajonych dysponentów, którzy by w sposób właściwy rozdzielali pieniądze, administrowali nimi, dostosowując elastycznie formy pomocy do potrzeb, nie należała do spraw łatwych.

Ustalono jako zasadę generalną, że delegaci funduszu będą w swoich środowiskach rozdzielać zapomogi na zasadzie pożyczek jednorazowych w kwotach większych, pozwalających jakoś stanąć ich podopiecznym na nogi, lub też na zasadzie dotacji miesięcznych 200-300-złotowych - dopóki będzie zachodziła potrzeba lub dopóki nie wyczerpią się fundusze. Kwoty te miały podlegać w zasadzie zwrotowi. Kiedy? Gdy dotowanego będzie na to stać.

Długo mozolili się nad ustaleniem listy tych, którym można zawierzyć bez obaw administrowanie funduszem społecznym. Po kilku przymiarkach ustalili ją wreszcie. Znaleźli się na niej: Michał Kaczorowski,⁷ prokurator Mieczysław Siewierski,⁸ inspektor Tadeusz Dietrich,⁹ jego brat b. prokurator Lucjan Dietrich-Miłobędzki,¹⁰ nacz. dyr. „Polminu” Stefan Dażwański,¹¹ sędzia Wawrzyniec Kubala,¹² poeta Wiłam Horzyca,¹³ dyr. Witold Podolecki,¹⁴ prezes ZASP - Damięcki, oraz naczelnicy Izby Skarbowej: Władysław Przy- byś, Adam Sołtan i Romuald Burgraf.

Razem z inicjatorem i kierownikiem tej akcji, dyr. Drojanowskim, stanowili więc 13-osobowe kolegium. Podjęte działania pozwalały teraz skuteczniej nieść pomoc jednocześnie w wielu środowiskach i grupach społecznych, wśród artystów i dziennikarzy, pisarzy, w sądownictwie, prokuraturze, wśród więźniów, w szpitalach i obozach jeńców, dokąd zainicjowano wysyłanie paczek. W 5 lat później organizatorzy tak przedstawiali tę akcję w piśmie do ministra Skarbu:

„Pomoc otrzymały: Ministerstwo Sprawiedliwości i Nadzór Prokuratorski, Sąd Apelacyjny, Sąd Okręgowy, Sąd Grodzki, Najwyższy Trybunał Administracyjny, Ministerstwo Przemysłu i Handlu, Ministerstwo Oświaty, Ministerstwo Spraw Wewnętrznych, Patronat Opieki nad Więźniami, Polski Czerwony Krzyż, dziennikarze, Związek Artystów Scen Polskich, plastycy etc. Akcja zapomogowa trwała z górą dwa lata, prowadzona była wieloosobowo, a wysokość zapomóg stałych, wypłacanych miesięcznie, wynosiła od 100 do 300 złotych, w zależności od stosunków rodzinnych. Zapomogi jednorazowe wynosiły od 500 do 1000 złotych, a w dwóch wypadkach po 3 tysiące złotych, i miały na celu usamodzielnienie subwencionowanych. Udzielono też kilku pożyczek zwrotnych. Zapiski prowadzone były centralnie i w tym celu wyzyskano w sposób specjalny książkę telefoniczną (abonentów telefonicznych). Dowody - pokwitowania przechowywane były oddzielnie...”

Część powołanych do komitetu ludzi przybyła na ul. Lindleya zaciekawiona telefonem Drojanowskiego. Przechodzą pojedynczo, nie bardzo wiedząc, o co chodzi. Pozostałych dyrektor zaprasza do siebie do domu, i tu zapoznaje ich ze szczegółami podjętej akcji.

- Panowie! W sposób, którego nie wolno mi ujawnić, olbrzymim wysiłkiem kilku dzielnych ludzi, nie wahających się narazić dla tej sprawy na duże niebezpieczeństwo, udało nam się zabezpieczyć pewne dość pokaźne kwoty pieniężne, pochodzące ze skarbu państwowego, z zasobów funduszu ewakuacyjnego z września 1939 r. Zgodnie uznaliśmy, że pieniądze te nadal winny służyć sprawie, może nieco innej, niż przewidywano to w planach ewakuacyjnych, ale na pewno sprawie społecznej. W tym ogromie nędzy są to, co prawda, kwoty znikome, ale przy ich pomocy może uda się osuszyć trochę łez i ułatwić niejedno ciężkie życie. Postanowiliśmy zaprosić panów jako delegatów środowisk, w których żyjecie, do naszego grona i prosić o pomoc w rozdzieleniu tych pieniędzy zgodnie z waszym

7Minister budownictwa po wojnie.

8Prokurator Sądu Najwyższego oraz Trybunału Międzynarodowego w Norymberdze.

9Minister finansów w PRL. Zmarł.

10Prokurator, a następnie zastępca naczelnego dyrektora Głównego Urzędu Likwidacyjnego. Zmarł.

11Naczelny dyrektor „Polminu” sprzed 1939 r. Zmarł.

12Były sędzia Najwyższego Trybunału Administracyjnego. Zmarł.

13Późniejszy dyrektor Teatru Narodowego. Zmarł.

14Były dyrektor zakładów firmy Gerlach. Zmarł.

- Obecni bez słowa podchodzą do Drojanowskiego i ściskając jego dłoń pochylają nisko głowy. Ten gest znaczy więcej niż przemówienia bogate w najpiękniejsze zwroty. Każdy z nich wychodząc kolejno na zaśnieżoną ulicę ma w kieszeni plik banknotów - 5-10-15 tysięcy złotych oraz mocne postanowienie, że przy ich pomocy będzie czynił dobro.

Zaledwie uporządkowano jakoś sprawę funduszu opieki społecznej, zaledwie emisariusze komitetu rozpoczęli swoją charytatywną działalność, gdy niespodziewana wizyta w domu Drojanowskiego wywołała nowy niepokój. Pewnego styczniowego wieczoru zadzwonił niecierpliwie dzwonek u drzwi i po chwili dyrektor wprowadził do pokoju zdenerwowaną Natalię Jarczewską, która dotąd przechowywała drogocenną teczkę ze skarbem.

- Czy coś złego, pani Natalio? - pytał z niepokojem, a widząc jej spłoszone spojrzenie skierowane ku drzwiom zapewnił: - Proszę mówić zupełnie spokojnie, tu są sami domownicy, ludzie godni zaufania. Co panią tu sprowadza o tak późnej porze?
- Panie dyrektorze, dzisiaj w naszej dzielnicy były okropne aresztowania. Zabrano kilkudziesięciu mężczyzn, w tym kilku z naszego domu. Niemcy pozostawili posterunki na ulicach i obawiam się, że to nie koniec, że jutro będzie dalszy ciąg. Ta teczka nie może u mnie zostać godziny dłużej.
- Pani Natalio, jest już ciemno i niebawem, za dwie godziny, zacznie się godzina policyjna. Już w tej chwili jest niebezpiecznie, bo Niemcy od zapadnięcia zmroku częściej legitymują na ulicach. A przy tym, gdzie to zawieziemy?
- Ja już mam nowe miejsce. Proponuję pracownię znanego malarza, prof. Edwarda Kokoszki. Pracownia jest na rogu Pięknej i Marszałkowskiej, na mansardzie na którymś tam piętrze. On nam na pewno nie odmówi ukrycia tego, a ja będę spokojniejsza. Bo gdyby to u mnie przepadło, nie przeżyłabym.
- Dobrze, jedźmy więc jak najszybciej.

Riksą, najpopularniejszym środkiem lokomocji w okupowanej Warszawie, pojechali z Alei Niepodległości na Chmielną. Posterunki stały na rogach ulic, ale im udało się przejechać obok bez zwrócenia na siebie uwagi.

Tą samą riksą wieźli teraz teczkę z wielomilionową zawartością, bojąc się, czy szczęście ich nie opuści.

Starali się rozmawiać możliwie swobodnie, by nie wzbudzić podejrzeń nawet u sapiącego riksarza, ale Bóg jeden wiedział, ile ich to kosztowało. Wreszcie wysiedli na Pięknej i szybko zniknęli w klatce schodowej. Kilka wysokich pięter przebiegli, jakby ich kto gonił. Teraz był jeden problem - czy zastaną prof. Kokoszkę w domu.

Na szczęście zaraz po terkocie dzwonka szczęknął odsuwany zamek. Profesor nie odmówił, tak jak zapewniła Jarczewska, ale dość długo zastanawiał się, gdzie ukryć „złotą” teczkę. Wreszcie przyniósł z jakiegoś kąta młotek i najspokojniej zaczął rozbijać jedną ze ścian mansardowej pracowni.

Okazało się, że jest tam mały przygórek, do którego wejście zamurowano przed wojną. Tam złożono teczkę i przy gościach, którzy musieli tu zostać na noc z powodu godziny policyjnej, profesor zamurował dziurę, zaprawił tynkiem, a gdy trochę podeschło - zamalował i pokrył całą ścianę misternym wzorem. Najbardziej nawet baczne oko nie odgadłoby tu schowka.

Ledwo minęła pierwsza okupacyjna zima, a znowu zgrany zespół skarbowców został poderwany do następnej błyskawicznej akcji. W dniu 4 kwietnia 1940 r. mury Warszawy pokryły nowe różowe plakaty. Z nich ludność milionowego miasta oraz kilkanaście milionów mieszkańców Generalnej Guberni dowiedziało się, że od tego dnia na terenie GG wprowadzone zostają nowe banknoty, wydane przez powołany do życia zarządzeniem władz okupacyjnych Bank Emisyjny w Krakowie. Z tym dniem straciły swoją moc obiegową przedwojenne banknoty Banku Polskiego.

Zarządzenie to poprzedziły sprzeczne pogłoski: jedni mówili, że wprowadzone zostaną niemieckie Rentenmarki, inni, że złote, nikt nie znał jednak szczegółów i wszystko wyglądało na to, że wiadomości są niezbyt poważne.

Zarządzenie okupanta zaskoczyło warszawskich skarbowców. Był to jednak zespół zbyt wypróbowany, aby zaskoczenie mogło zdeorganizować jego działalność. W ciągu jednego dnia zebrano od delegatów funduszu społecznego wydane im walory i wraz z rezerwami będącymi w dyspozycji dyr. Drojanowskiego wymieniono przez znajomości w Banku Emisyjnym na pieniądze okupacyjne.

Teraz wreszcie Drojanowski mógł pomyśleć o pracy zawodowej dla siebie, nie tyle w celu zdobycia środków na utrzymanie, ile raczej aby uzyskać autentyczne dokumenty ułatwiające tajną działalność społeczną. Liczni przyjaciele proponują mu różne stanowiska, odrzuca je jednak, bo wszystkie one miały jakiś związek z pracą dla Niemców; przy tym w związku z nowo podjętą działalnością potrzebna mu była praca innego rodzaju.

W najbliższym czasie zaskoczy wszystkich znajomych swoją decyzją - przy ul. Żurawiej zorganizuje warsztat ślusarski i pod kierunkiem starego majstra zacznie się uczyć nowego zawodu. Po krótkim jednak czasie przekona się, że to jeszcze nie to, o co mu chodzi. Jesi już wtedy całkowicie pochłonięty opieką nad osobami poszukiwanymi przez Niemców, a także udzielaniem pomocy tajnemu nauczaniu. Masowe już uczęszczanie młodzieży na tajne komplety, i to na wszelkich poziomach - gimnazjalnym, licealnym i uniwersyteckim - natrafiało na jedną przeszkodę hamującą - na brak odpowiednich, pewnych lokali. Dlatego też państwo Drojanowscy na pierwszy apel zaprzyjaźnionego profesora ze Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego oddali na potrzeby tajnej oświaty część swego mieszkania. Małżonka dyrektora Barbara Drojanowska kieruje ważnym odcinkiem działań w patronacie Opieki nad Więźniami.

W tym czasie Niemcy przystępują do przygotowań do masowego likwidowania Żydów. Ta potworna, zbrodnicza, nie mająca precedensu w historii świata akcja budzi w społeczeństwie polskim nie tylko protest, ale także powoduje, że wielu uczciwych Polaków stara się, nie bacząc na konsekwencje, nieść aktywną pomoc zagrożonym Żydom. Jednym z pierwszych jest Drojanowski. Przez jego ręce przechodzą dziesiątki fałszywych kościelnych metryk, dowodów aryjskości, a także sam osobiście pilotuje tych, którzy zagrożeni aresztowaniem muszą zniknąć z Warszawy.

Wszystkie te nowe zadania wymagają posiadania mocnych papierów, które by z jednej strony chroniły przed coraz częstszymi łapankami, a z drugiej uzasadniały potrzebę poruszania się w najbardziej nieprawdopodobnych miejscach.

I znów Drojanowski pewnego dnia zaskakuje otoczenie nową decyzją. Zjawia się z dużą, okrągłą blachą na piersi z napisem: „General-Gouvernement Altstoff-Erfassung No 06005”.

Brzmi to bardzo urzędowo i groźnie, ale po przetłumaczeniu okazuje się, że właściciel jest po prostu zarejestrowanym, urzędowym zbieraczem starzyzny.

W III Rzeszy funkcja ta była jedną z najbardziej chronionych i faworyzowanych. Zbieranie makulatury, starych szmat, butelek oraz żelastwa było m.in. jednym z zadań młodych janczarów hitleryzmu - Hitler-Jugend.

Ta blacha chroniła przed łapankami, otwierała wiele drzwi, a co najważniejsze - nikogo nie dziwiło, że zbieracz złomu i makulatury kręcił się wszędzie. Drojanowski mimo posiadania tej oznaki osobiście nie zebrał ani jednej szmaty czy butelki. Robiło to za niego dwóch ludzi, którzy dbali o to, aby konto posiadacza blachy No 06005 było w centrali chlubnie rozliczone pokazną ilością gazet i złomu.

Wojna stwarza paradoksalne sytuacje, które zadziwić by mogły wszelkich późniejszych speców od szufladkowania pojęć i ustalania recept. Jedną z nich miała miejsce przy Alejach Niepodległości w latach wojny. W mieszkaniu sióstr Drojanowskiego, byłego tzw. sanacyjnego dygnitarza - jak to później będzie się nazywało w żargonie pewnego okresu - znajdzie schronienie, pomoc i opiekę rodzony brat i dalsza rodzina znanej polskiej rewolucjonistki - Róży Luksemburg.

Zimowe wieczory w 1941 r., a szczególnie może te właśnie smutne okupacyjne wieczory, sprzyjają snuciu śmiałych planów. A Drojanowskiemu od przeszło roku marzyło się, aby 8 kilogramów złota i drogich kamieni zamurowanych teraz na przygórku pracowni prof. Kokoszki służyło jakiejś społecznej sprawie, aby procentowało w postaci choćby nikłego uśmiechu na twarzach stroskanych ludzi. Zwierza się z tych projektów swemu przyjacielowi, sędziemu Wawrzyńcowi Kubali. Rozmowa jest taka jak wiele wieczornych pogawędek, ale widocznie zapadła w duszę Kubali, bo po kilku dniach, w czasie kolejnego spotkania, niespodziewanie do niej wraca:

- Mogę wam ułatwić spotkanie z Cyrylem Ratajskim, Delegatem Rządu na Kraj.
- W jaki sposób?
- To już moja sprawa.

Później dopiero Drojanowski dowie się, że serdeczny przyjaciel Kubali i jego osobisty znajomy, b. dyrektor departamentu w Min. Skarbu - Stanisław Kauzik, jest w najbliższym otoczeniu Ratajskiego doradcą do spraw finansowych, i przy jego pomocy dojdzie do skutku to spotkanie.

Na razie jednak Drojanowski nie wie nic poza tym, że w styczniowe popołudnie ma się zjawić o określonej godzinie przy ul. Skorupki (obecnie Sadowa), uliczce cichej i spokojnej, na I piętrze zapukać w umówiony sposób do drzwi pod nr 3 i wymienić hasło.

Drojanowski stuka trzy razy i po krótkiej przerwie jeszcze dwa. Natychmiast szczęka zasuwą, drzwi otwierają się i staje przed nim starsza wysoka niewiasta.

- Dzień dobry. Przyniosłem sznurówki.
- Jakże pan ma, czy białe też?
- Niestety, same brązowe i czarne.
- Mimo wszystko chcę je zobaczyć. Proszę wejść.

Prowadzi przybysza do małego ciemnego saloniku, sadza na pluszowej kanapie, wychodzi, i gość przez chwilę, kilka minut jest sam. Naraz drzwi otwierają się cicho i staje w nich Cyryl Ratajski. Drojanowski konstatuje, że Delegat Rządu postarzał się nieco od czasu, gdy przed 15 laty znał go jako prezydenta miasta Poznania, sam będąc urzędnikiem poznańskiego magistratu.

Przywitanie jest serdeczne, Ratajski prosi o zajęcie miejsca i następnie z uwagą słucha sprawy, która przyprowadziła tu gościa. Chwilę zwleka z odpowiedzią.

- Kolego, mam wystarczające środki na działalność Delegatury, a gdybym o waszej akcji powiadomił Londyn, nie mam żadnej gwarancji, czy już jutro nie wiedzieliby o tym Niemcy, i wówczas skończyłby się i kolega, i skarb.

Drojanowskiego zdumiewa taka odpowiedź, ale Ratajski kiwa głową i wzdychając potwierdza:

- Niestety, taka jest prawda.

Stara teczka, wypchana złotem, musi więc nadal spoczywać w przymusowym spokoju za cienką gipsową ścianką. Martwi to Drojanowskiego, ale nowe wydarzenia spychają tamte zmartwienia na plan dalszy.

Pewnego dnia do warsztatu ślusarskiego wpada zdyszany Lucjan Dietrich-Miłobędzki. Jest wściekły, a jednocześnie bezradny.

- Panie dyrektorze - szepce w kącie. - Przypadło nam piętnaście tysięcy z tajnego funduszu.
- Dlaczego?
- Pamięta pan, że kilka miesięcy temu wzięłem od pana te pieniądze i za pana zgodą ulokowałem w towarach w trafice u B. Chodziło o to, aby te rezerwowe kwoty nie dewaluowały się tak szybko, i dlatego postanowiliśmy je ulokować w jakimś chodliwym towarze, którego wartość nie spadałaby, a rosła. Otóż ten B. wszedł w jakieś konszachty z robotnikami kolejowymi, nakłonił kogoś tam do wykradzenia z niemieckiego transportu kilku skrzynek papierosów, ktoś to sypnął i wczoraj zamknięto go, a dzisiaj opieczętowano trafikę oraz magazyny wraz z naszymi towarami na rogu Królewskiej i Krakowskiego Przedmieścia.

Członkowie komitetu pomocy społecznej mogliby właściwie spisać te 15 tysięcy na straty, nieuniknione przecież w tych warunkach. Ale gospodarność oraz oszczędność w dysponowaniu pieniędzmi społecznymi jest zasadą, w której kształtowano ich i wychowywano przez kilkadziesiąt lat. Nie wolno im więc dopuścić do tego, aby przepadła nawet kwota stanowiąca zaledwie 5 procent będącej w ich dyspozycji sumy.

Tego dnia po południu w mieszkaniu dyr. Drojanowskiego zbiera się sztab akcji, poszerzony o kilku specjalistów bankowo-finansowych. Po dłuższej dyskusji znajdują wreszcie rozwiązanie:

Jeżeli tylko w książkach kasowych trafiki prowadzonej przez B. znajduje się po stronie przychodu zapis 15 tysięcy złotych, to będzie można wystąpić do sądu, który zabezpieczył majątek aresztowanego, o zwrot masy towarowej w tej wartości, gdyż jeden z oddziałów banku, kierowany przez godnego zaufania człowieka, gotów jest firmować fikcyjne udzielenie takiej pożyczki. Rekonesans przeprowadzony przez ludzi przychylnych komitetowi opieki społecznej w prokuraturze, gdzie leżą księgi trafiki, potwierdza istnienie takiego zapisu, i tego samego dnia oddział banku występuje oficjalnie o zwrot towaru w tej wysokości.

Po dwóch tygodniach różnych korowodów pod dom dyr. Drojanowskiego podjeżdża furgon, z którego robotnicy wnoszą do mieszkania wiele „kamieni” pudełek zapalek, tyleż paczek papierosów, fajki, woreczki z tytoniem fajkowym itd. W ten sposób nieszczęśliwy przypadek staje się szczęśliwym rozwiązaniem dla komitetu opieki społecznej, gdyż władze zwalniają towar wartości 15 tysięcy złotych, licząc po cenach urzędowych wtedy, gdy na przykład cena rynkowa paczki zapalek czy pudełka papierosów, nie mówiąc już o tytoniu fajkowym dobrego gatunku, jest kilkakrotnie wyższa. Pozwala to dyr. Drojanowskiemu udzielać zapomóg na przykład w wysokości 300 zł w formie kilku „kamieni” zapalek czy kilkudziesięciu paczek papierosów, które osoba dotowana sprzedaje na czarnym rynku uzyskując zamiast 300 zł dużo więcej.

Powoli jednak fundusze komitetu pomocy społecznej wyczerpują się; choć część ludzi objętych dotacjami zwróciła zaciągnięte pożyczki, przytłaczająca większość otrzymuje zapomogi bezzwrotne, i to udzielane miesięcznie od przeszło dwóch lat. Ten stan rzeczy doprowadza do powolnej likwidacji akcji niesienia pomocy, bo na wiosnę 1942 r. fundusz jest już na wyczerpaniu.

Jednocześnie dyr. Drojanowskiego ostrzegają jego do niedawna podwładni, że Lier zwrócił uwagę na dosyć częste wizyty pracowników Izby u dyrektora. Podobno doszły do niego jakieś wieści o tajnym funduszu i Niemiec miał się nawet wyrazić, że jeśli jeszcze raz potwierdzą się one, to powiadomi gestapo.

W lecie 1942 r. trwająca od roku wojna radziecko-niemiecka stwarza sytuacje, które wywierają bezpośredni wpływ na dalsze losy skarbu. W nocy z 1 na 2 sierpnia 1942 r. radzieckie bombowce nadlatują nad Warszawę i w czasie godzinnego bombardowania zrzucają dziesiątki bomb na dworce, tory oraz domy mieszkalne. Oglądając dzień później rozorane od dachu do piwnic domy, dyr. Drojanowski przeżywa na nowo falę niepokoju; co będzie, jeśli bombowce zaczną gościć pod warszawskim niebem częściej i jeśli przypadkiem jeden ze śmiertelnych ładunków uderzy w dom stojący na rogu ul. Pięknej i Marszałkowskiej?

To sierpniowe bombardowanie przyśpiesza decyzję wywiezienia teczki z 8-kilogramowym ładunkiem złota poza Warszawę. W tej wojnie nawet najgrubsze mury przestają być bezpiecznym schronieniem czy skrytką.

Trzeba sięgnąć do najstarszego schowka, jaki zna ludzkość, powierzyć skarb ziemi.

Od dłuższego czasu Drojanowski rozważa możliwość przekazania skarbu jako depozytu w ręce siły zbrojnej podziemia, w ręce Armii Krajowej. Uważa, że ludzie z jej szeregów potrafią lepiej niż on ukryć wielomilionowy skarb, a gdy zajdzie potrzeba - lepiej go wykorzystać dla jakiejś słusznej sprawy.

Przez konspiracyjne kontakty nawiązuje łączność z przedstawicielami Komendy Głównej AK, którzy kierują jedną z ważniejszych komórek organizacyjnych mającą swoją siedzibę w resztówce majątkowej, w Zuzance pod Warszawą.

W początkach września skórzana teczka z bezcenną zawartością zostaje wydobyta z przygórka prof. Edwarda Kokoszki, gdzie spoczywała ponad półtora roku, i dyr. Drojanowski wywozi ją do Zuzanki.

Tam wręczywszy ją za pokwitowaniem trzem oficerom jest świadkiem zakopania skarbu pod jednym ze słupów ogrodzenia otaczającego stary, wieloletni park.

- Proszę zapamiętać to miejsce - mówi do niego jeden z oficerów. - Zakopaliśmy pod piątym słupem ogrodzenia.

Po zakończeniu działalności funduszu pomocy społecznej i ostatecznym ukryciu skarbu, Drojanowski, urodzony społecznik i człowiek głodny pracy dla innych, może teraz oddać się wyłącznie dziełu, które podjął wcześniej, sprawie niesienia pomocy zagrożonym zagładą Żydom. Nie cofa się przed żadnym niebezpieczeństwem i nadal nie zważając na to, iż każda z codziennie podejmowanych prac grozi natychmiastową egzekucją jemu i jego najbliższym, nie odmawia pomocy nikomu.

Tak jest przez cały 1943 r., aż wreszcie wiosną 1944 r. opuszcza go dotychczasowe szczęście. W tym czasie zostaje złapana przez Niemców kobieta narodowości żydowskiej ze Lwowa, siostra znanej rzeźbiarki, komunistki, Julii K. Swego czasu, po przyjeździe do Warszawy, udała się o pomoc do b. Prezydenta swego miasta. Całej tej rodzinie, jej mężowi i synowi, dyr. Drojanowski dostarczył przed kilku tygodniami komplet fałszywych dokumentów. W czasie makabrycznego przesłuchania w alei Szucha, aresztowana załamuje się i gdy oprawcy pytają, kto jej dostarczył papiery, mówi:

- Prezydent Drojanowski.

W kwietniu 1944 r. Drojanowski zostaje aresztowany. Grozi mu wyrok śmierci za dowiedzioną pomoc niesioną Żydom. Przechodzi ciężkie badanie w alei Szucha, potem jest więziony na Pawiaku, ale tymczasem starania przyjaciół, m.in. Wilama Horzycy, Potockiego i innych, oraz chciwość oficerów prowadzących śledztwo odnoszą skutek, i tuż przed powstaniem więzień odzyskuje wolność.

Przez 63 sierpniowe i wrześniowe dni jest świadkiem zagłady stolicy. Gdy w jego oczach zamienia się w stertę gruzów 6-piętrowy dom, który przez półtora roku był schronieniem dla bezcennego skarbu, Drojanowski błogosławi moment, w którym zdecydował się wywieźć skórzaną teczkę poza granice nieszczęsnego miasta. Nie wie, czy dane mu będzie przeżyć to piekło na ziemi, ale ma nadzieję, że choć jeden z tych trzech oficerów, którzy znają tajemnicę, zrobi z jej zawartości właściwy użytek.

Los jednak zdecydował inaczej. Gdy pół roku po powstaniu znajdzie się na powrót w wyzwolonej Warszawie, dowie się, że żaden z trzech oficerów nie przeżył wojny. Jest jedynym, który wie, że skarbu nie ma w zburzonym mieszkaniu prof. Kokoszki oraz jedynym, który zna miejsce jego ukrycia.

Gdy tylko uspokoiło się nieco w Warszawie i jej okolicach, gdy znalazł jakieś mieszkanie dla siebie i rodziny, w końcu lipca 1945 r. wyruszył do Zuzanki. W dużej teczce miał składaną łopatkę saperską. Dworek ukryty wśród wielkich, wiekowych drzew, znalazł bez trudu. Ale przed nim i za nim rozciągało się pobojuwisko. Piękne gazony i trawniki były podziurawione licznymi lejami, drzewa sterczały bezlistnymi kikutami ku niebu, z masywnego zaś płotu, okalającego dawny park, nie było śladu. Nie wiadomo było w ogóle, gdzie on przebiegał, a znaleźć miejsce, w którym stał piąty w szeregu słup ogrodzenia, wydawało się absolutnym niepodobieństwem.

A jednak Drojanowski postanowił nie rezygnować.

Wobec tego, że dokoła krzątali się ciągle jacyś ludzie, to cywilni, to wojskowi, poczekał do zmierzchu, a gdy ciemność zapadła, zaczął kopać. Kilkakrotnie zmieniał miejsce poszukiwań, za każdym razem przekonany, że to już tu. Po kolejnej próbie teczka została wydobyta.

Zaraz po przyjeździe do Warszawy odnalazł dwóch ludzi z pokaźnej grupy skarbowców.

Byli to dwaj naczelnicy Izby - Burgraf i Przy byś. Wyciągnęli starą listę, tę sprzed 6 lat, którą w pośpiechu sporządzili w zaciemnionym skarbcu w przeddzień zajęcia Izby przez Niemców. Według niej pozycja po pozycji sprawdzili zawartość teczki. Zgadzała się co do najmniejszego szczegółu. 291 pozycji listy znalazło pełne pokrycie w 291 sztukach biżuterii.

Nie było w gronie trzech mężczyzn chwili wahania ani co do tego, czy skarb należy oddać, ani też komu. Rozdzielili między siebie zadania: jeden miał się zająć zamówieniem u intrologatora Izby Skarbowej ozdobnego wyklejonego materiału puzdra, bo trudno było zanieść skarb w zabłoconej teczce, drugi miał przetrzeć drogę i załatwić przepustkę do gmachu dawnego DOKP na Pradze, gdzie miał swoją tymczasową siedzibę Rząd Jedności Narodu.

W sierpniowe upalne południe wchodzili odświeżnie ubrani do wielkiego gmachu, odprowadzani uważnym spojrzeniem uzbrojonego wartownika. Wobec tego jednak, że mieli przepustkę wydaną na zlecenie samego ministra, nie mógł ich zaczepić, mimo iż paczka, którą najwyższy z nich niósł pod pachą, wydawała mu się wielce podejrzana.

A potem, gdy na ministerialne biurko postawili ozdobne pudło, gdy zaślniły w promieniach słońca brylanty, rubiny i szmaragdy, powiedzieli:

- Panie ministrze, w pana osobie Polsce oddajemy ten skarb, który uratowaliśmy i przechowaliśmy przez okres wojny.

Minister ścisnął długo ich dłonie, a gdy opanował wzruszenie, powiedział:

- Polska jest waszą dłużniczką, panowie. Mówcie, co za to chcecie.

Odpowiedzieli po prostu:

- Nic, panie ministrze. Spełniliśmy tylko swój obywatelski obowiązek.

A potem wręczyli kilka zapisanych kart papieru, na których był opis skarbu wartości 2,5 miliona dolarów. Następnie w telegraficznym skrócie ujęli całą dwuletnią pracę związaną z rozdzieleniem tajnego funduszu opieki społecznej. Na kilku stronach maszynopisu zamknęli wysiłek podjęty w celu uratowania kilkudziesięciu oficerów oraz zatrudnienia i udzielenia pomocy kilkuset pracownikom skarbowym.

Zakończyli skromnie:

„Całość akcji posiadała dużo akcentów niebezpiecznych i ciekawych, których nie podajemy ze względu na charakter sprawozdania, mamy jednak świadomość przyjemną i budującą zarazem, że sprawa w całym jej przebiegu, przedstawionym dziś fragmentarycznie, jest szczególną manifestacją karnośći zespołu pracowników służby, której Pan Minister dziś patronuje.

W końcu pozwalamy sobie podać Panu Ministrowi nazwiska pozostałych uczestników akcji bezpośredniej - są to: Kopiński Tadeusz, Wiśniewski Adam, Mianowski Kazimierz, Wiśniewski Jan, Adamcewicz Ignacy, Falandysz J., Geblowa, Bańkowski oraz nazwiska tych, którzy z dobrym skutkiem przechowywali przedmioty wartościowe: Wanda Orlicz-Dreszerowa, Natalia Jarczewska, prof. Kokoszko, sędzia Tryb. Kubala, I. Zenko”.

Minister, skończywszy czytanie tego niecodziennego dokumentu, podniósł oczy na Drojanowskiego i rzekł z podziwem: Widzę, że to pan, panie kolego, był przez sześć lat okupacji faktycznym ministrem skarbu polskiego.

I to były jedyne słowa, którymi wyrażono im wdzięczność za to, co zrobili. Jeszcze tylko w kilka dni po wizycie u ministra goniec doręczył na ręce dyr. Drojanowskiego kilka pisemek o jednakowej treści datowanych 20 listopada 1945 roku, a każde z nich zawierało zaledwie trzy wiersze, mieszczące się z powodzeniem na połówce ministerialnego blankietu.

„Za przyczynienie się do uratowania przed okupantem niemieckim skarbcza byłego I Urzędu Skarbowego Warszawa-Powiat składam Obywatelowi wyrazy mego uznania oraz podziękowanie.

Minister Skarbu K. Dąbrowski”

Czas biegł w szalonym tempie. Zrujnowany kraj ogarniała pasja odbudowy. Nowy ustrój, nowy system społeczny i gospodarczy, stawiał przed tworzącą się administracją całkiem nowe problemy. Rola banków, rola służby skarbowej, chętniej nazywanej już wtedy finansową, nabrała nowego znaczenia. Banki miały się stać kontrolerami całej gospodarki.

Fachowcy z tej dziedziny stali się naraz jednymi z najbardziej poszukiwanych. W prasie ukazały się ogłoszenia wzywające do rejestracji wszystkich byłych skarbowców. Zgłaszali się więc i przyjmowano ich na odpowiedzialne i wysokie stanowiska, wszystkich - z wyjątkiem Drojanowskiego i Burgrafa.

- Wie pan - powie mi w dwadzieścia lat potem dyr. Drojanowski - run na skarbowców był tak olbrzymi, że poprzyjmowano do służby nawet tych, przeciwko którym w 1936 roku jako dyrektor departamentu nadzoru w Ministerstwie Skarbu prowadziłem dochodzenie o łapownictwo i nadużycia. Tylko nas nie przyjęli.

Obaj nie należeli jednak do ludzi załamujących ręce. Burgraf szukał środków do życia w szkolnictwie zawodowym, Drojanowski miał dość ludzi, wołał ciała niebieskie - został kierownikiem administracyjnym Obserwatorium Uniwersytetu Warszawskiego. Płace były bardzo skromne, ale nie narzekali. Bolało ich jedynie, że im nie zaufano. Gryzło ich to przez 10 lat.

W październikowe dni 1956 roku, gdy plac przed Pałacem Kultury i Nauki rozbrzmiewał krzykiem pół miliona ludzi: „Wiesław! Wiesław”, Drojanowski przydybał na niedalekiej od Pałacu ulicy Świętokrzyskiej wychodzącego z gmachu Ministerstwa jednego z dawnych znajomych, który był członkiem komisji kwalifikacyjnej. Spojrzał mu twardo w oczy i zapytał jednym słowem:

- Dlaczego?

Zmieszał się rozmówca, coś przez chwilę dukał, wreszcie wydobył z siebie:

- Pan wie, panie Waclawie, jakie to były czasy. Przecież takich skarbców, może nie tak jak wasz zasobnych w drogocenne precjoza, było w naszym aparacie szesnaście, tyle ile województw. Żaden nie ocalał. I naraz zjawia się pan, były sanacyjny dygnitarz, wojewoda, prezydent Lwowa. I zamiast z teczką pod pachą uciec za granicę, do swoich, do Andersa, przynosi pan 8 kilo złota i brylantów. I nic pan za to nie chce. A potem zgłasza się pan do pracy. A praca to przecież odpowiedzialna, wymagająca zaufania. Więc towarzysze na komisji stwierdzili, że cała sprawa z tym oddaniem skarbu jest podejrzana. I na wszelki wypadek postanowili nie przyjąć was do pracy. Pan wie, to był stalinizm.
-
- Tak rozliczono się przed Drojanowskim za pierwszy dziesiątek lat niełaski. Ale stalinizm minął, a w sytuacji Drojanowskiego, Burgrafa i coraz bardziej topniejącej grupki skarbowców i ich przyjaciół, niewiele się zmieniło. Generałowa Wanda Orlicz-Dreszerowa, już wtedy 80-letnia staruszka, utrzymywała się z renty wynoszącej 540 zł, Burgraf miał więcej, bo 720 złotych, Drojanowski zaś przy nich był krezusem - pobierał 780 zł.

Wreszcie 9 października 1967 roku w gmachu Urzędu Rady Ministrów przed przedstawicielami Rządu: ministrem Mieczysławem Moczałem - prezesem Zarządu Głównego Związku Bojowników o Wolność i Demokrację, ministrem finansów Jerzym Albrechtem i szefem Urzędu Rady Ministrów ministrem Januszem Wieczorkiem, stanęło ich zaledwie sześcioro; tyłu bowiem dożyło tej chwili z ponad dwudziestoosobowej grupy.

- Rząd Polski Ludowej postanowił wyrazić swoją wdzięczność przez nadanie wam wysokich odznaczeń za czyn godny najwyższego uznania, za wzór postawy obywatelskiej - mówił przedstawiciel Rządu, minister Moczar.

Na piersi dyr. Drojanowskiego i nacz. Burgrafa przypięto Krzyże Oficerskie, a generałowej Orlicz-Dreszerowej, malarce Natalii Jarczewskiej, mgr. Józefowi Falandyszowi i Ignacemu Zence wręczono Krzyże Kawalerskie Orderu Odrodzenia Polski. Do odznaczeń dołączono renty dla zasłużonych.

Dyr. Drojanowski dziękując w imieniu podległego mu ongiś zespołu powiedział: Panowie Ministrowie. W imieniu odznaczonych, tych nielicznych już niestety osób - członków akcji sabotażowej przeciwko okupantowi niemieckiemu z lat 1939-45 - mam zaszczyt podziękować Radzie Państwa, Rządowi i Panu, Panie Ministrze, za to wyróżnienie. Po kilkuletnim okresie niewoli, okresie wielkiego niepokoju, ciężkich doznań i cierpień moralnych - akt dzisiejszy potęguje naszą samowiedzę - dobrze spełnionego obowiązku dla kraju.

Gdy przed wielu laty pisaliśmy do ówczesnego Ministra Skarbu, „że mamy świadomość budującą, że sprawa w całym jej przebiegu była manifestacją karność i wysokiego morale aparatu służby publicznej” - to było to istotną prawdą. Wszyscy tu obecni, działający w różnorodnych rolach i sytuacjach, znaleźli wspólną drogę i wytrwali w jej przejściu. Dziękujemy, Panowie Ministrowie, raz jeszcze i proszę pozwolić, że skorzystam z tej okazji, by na ręce Pana Ministra - Prezesa Zarządu Głównego ZBoWiD - złożyć podziękowanie za wyjątkowo szlachetne i rycerskie potraktowanie sprawy w pierwszej z nami rozmowie - za przedłożenie Rządowi sprawy, która dziś ma swój epilog.

Dziękujemy. Dziś, niestety, jeden z najuczciwszych ludzi mego kraju, mgr Wacław Drojanowski nie żyje, zmarł 8 lutego 1981 roku. Nie żyje Romuald Burgraf - wysokim odznaczeniem państwowym cieszył się zaledwie miesiąc. Nie żyje już prawie nikt z resztki dzielnych obrońców skarbu, ani generałowa Wanda Orlicz-Dreszerowa, ani mec. Falandysz, ani I. Zenko.

Mam nadzieję, że ta relacja posłuży przedłużeniu pamięci o nich.

A może kiedyś na szarej ścianie gmachu byłego I Urzędu Skarbowego przy ul. Lindleya w Warszawie zawiśnie tablica poświęcona Drojanowskiemu, Burgrafowi i ich kolegom?



Uroczystość odznaczenia uczestników ekipy, która uratowała skarb, w gmachu Urzędu Rady Ministrów w dn. 8 X 1967 roku.